



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 6 z odnośnieniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagraniczy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Walka o byt III. Klasyfikacya wyznaniowa. — Z Franeyi p. K. T. — Szkiec wiejskie: Wojtkowa — Narzeczeni p. X. X. — Przegląd słowiański I. p. Ramuła. — Z Galicyi p. Rewere. — Z Heidelberga p. J. Karłowicza. — Malarstwo polskie p. M. K. — Twoje skarby; Do zalotnej (wiersz) p. Maryana Bohusza. — Piśmiennictwo polskie p. A. J. Cohna. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — W perspektywie p. Maryana Bohusza. — Tydzien polityczny p. Ca. — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Z powodu wyczerpania się, nr. 1 **Prawdy** zmuszeni jesteśmy przedrukować i wtedy dopiero otrzymają go abonenci, którzy się opóźnili z przedpłatą.

Wysyłka *Ogniska* na prowincję rozpoczęła się w tygodniu bieżącym. Abonentów miejscowych prosimy o odebranie książki w kantorze naszym lub tym, w którym została zaprenumerowana.

Walka o byt.

III.

(Klasyfikacya wyznaniowa).

Jeśli przyjmiemy za regułę, że powodzenie w walce o byt zależy od stosowności i liczby użytych w niej środków, to jasną przedstawi nam się konieczność niewyłączenia żadnego z nich. Mówiliśmy poprzednio o błędach socjologii szlacheckiej, robiącej to wyłączenie na niekorzyść ludu; zastanowimy się obecnie nad skojarzonym z nią rozbratem wyznaniowym.

Nie chcemy przeczyć, że religia w życiu prawie wszystkich narodów a zwłaszcza naszego jest nie tylko uczuciową i rozumową wiarą, ale także pierwiastkiem politycznym, który na wytrwanie walki o byt posiada wpływ znaczny. Nie dowodzi to jednak wcale, ażeby owa religia była zbroją całkowitą lub nawet do osiągnięcia zwycięstwa konieczną. Gdy ktoś twierdzi, że dla utrzymania nierozwiniętej duchowo masy w charakterze narodowym przyczynia się w pewnych warunkach także jej narodowe wyznanie, sądzi słusznie; ale gdy utrzymuje, że ono tylko wytwarza ów charakter, że po za niem istnieć mogą tylko gatunki wynarodowione — taka logika ma swe prawa tylko w psychia-

tryi. Nie należy bowiem zapominać, że owa wiara, która w osobnikach niższego rzędu stanowi całe lub znaczną część uzdolnienia do życia i walki za nie, w jednostkach doskonalszych ustępuje miejsca siłom innym, daleko potężniej wspierającym dążenia samozachowawcze. Łatwo się zgodzić na to, że chłop poznański musi być katolikiem, jeśli ma zostać polakiem; ale niepodobna przyjąć niedorzecznej i zgubnej maksymy, że kto nie jest katolikiem, nie może być polakiem. Na nieszczęście maksyma ta dotąd tkwi między zasadami naszego katechizmu politycznego a dzięki jej redukujemy naród tak samo ze strony religijnej jak społecznej.

Miecz walki o byt przecina właśnie na tym punkcie węzeł t. z. kwestyi żydowskiej. Pomijając tu względy humanitarne, zauważyć należy, że moralne (o prawnem niema już dziś mowy) wyłączenie masy nominalnych lub faktycznych wyznawców Starego Zakonu z łona narodu zuboża nas o bardzo poważną sumę sił w walce o byt. Mówimy: zuboża, gdyż jakkolwiek uczciwy i światły izraelita w swych uczuciach i rozumie czerpie prawo do krajowego obywatelstwa i nie potrzebuje czynić go zależnem od wyroku jakiejś fanatycznej gazety lub koła towarzyskiego, tem nie mniej ciągle odtrącania oziębiają jego patriotyzm a całą ciemną masę jego współwierców utrzymują w stanie szkodliwej odrębności. Masa ta, dopóki nikąd nie widzi zachęty, pozostaje w swym separatyzmie lub słabej łączności z żywiołami miejscowymi; ale gdy wabik dostrzeże, gdy w chwilach gorętszych walki o byt stanie się przymierzem dla innej strony pożądanem, wtedy pewien jej procent z obojętnego lub nieprzyjemnego sąsiada zamienia się na niebezpiecznego przeciwnika. Kto stanowczo powiedzieć zdoła, że w zniemczeniu się żydów galicyjskich i poznańskich nie działało wcale odtrącenie

ich przez społeczeństwo polskie? Z rozumowań i frazesów naszego rasowo-wyznaniowego szowinizmu możnaby mniemać, że przemawiają w imieniu jakiegoś olbrzymiego narodu, który nie dba ani o związki przyjacielskie, ani o sympaty pierwiastków obcych, w jego wnętrzu tkwiących, lecz dla oczyszczenia swej krwi może spokojnie wyrzucić całą zawartość niestrawioną. Nie potrzeba tego szowinizmu sprawdzać z logiką i słusnością, dość go zmierzyć z względami praktycznymi. Gospodarstwo społeczne, które, zamiast wyzyskiwać każdy kęs gruntu, tworzy obszernie nieużytki a uprawia jedynie mały kawałek roli wyborowej, bankructwa uniknąć nie zdoła. Takim zaś rozległym nieużytkiem, na którym tylko kozy się pasą i w którego glińkach toną nadto nieopatrzone pastuchy, jest dla wielu naszych socjologów świat izraelski. Obsiewać go nie chcą, zgładzić nie mogą, więc urządzają sobie na nim zaciekle polowania. Czasem zastrzelą istotnie wilka lub lisa, ale czasem tak — że zebra lub jelenia.

Chłop polski, który w pewnej mierze jest odbiciem mniemań z góry na niego wpływających, jedynie w katoliku widzi polaka, w izraelicie zaś żyda, a w ewangeliku Niemca. Daje się to usprawiedliwić w prostym chłopie, ale co znaczy podobna klasyfikacya w ludziach inteligentnych, w dziennikach i dziełkach? Zanim poznamy uczucia i przekonania naszych współobywateli, badamy naprzód ich nazwiska, książeczki legitymacyjne, nawet włosy lub nosy i na tej dopiero podstawie wyrokujemy o ich narodowości. Jestże to metoda rozumna, sprawiedliwa i roztropna? Jestże rozumnem wskazywać patriotyczne modele nosów i uszów, jestże sprawiedliwością z tego tytułu pozbawiać ludzi praw moralnych wtedy, kiedy obdarzony niemi patrycyat przedstawia się bardzo nielicznie? Wszelka polityka, państwo-

Z FRANCYI.

Paryż, 21 stycznia.

Śmieszne echo okropnych chwil. — Republikańska nieuprzejmość. — Monarchiczna anarchia. — Za winę ślusarza. — Za kulisami. — Następcy króla-mieszczanina. — Groźby bankierów. — Co powie Senat? — Gdzie niebezpieczeństwo. — Pozaparlamentarna lewica. — Smutny koniec procesu. — Może jeszcze naprawia.

wa czy narodowa, oparta wyłącznie na religii, prędzej czy później musi doprowadzić do wewnętrznych rozterek, które nigdy nie rodzą siły. Jeżeli zaś wyznaniowe podparcie działań i opinii zawsze jest zgubnem, to stokroć zgubniejszym dla społeczeństw drobnych i prowadzących ciężką walkę o byt. Zaiste, w tę stronę zwrócić się powinny usiłowania naszych apostołów zgody i zjednoczenia, którzy domagają się wspólności, nieledwie tożsamości zdań, a ustawicznie rozwodzą żywioły, któreby żenić należało. Społeczeństwo nasze nie tworzy solidarnej całości, lecz składa się z kilku mechanicznie zlepionych ułamków, które dotąd nie dobrały sobie wspólnego mianownika. Istnieje polski naród, wytworzony ze szlachty i części mieszczaństwa, istnieją osobno polscy żydzi, polscy Niemcy itd. Dokąd zajędzie rydwan dobra ogólnego, przez tylu rumaków w rozmaite strony ciągnięty?

Sami wyłączyliśmy się z rodziny słowian, jeżeli nadto ze swego łona wyłączyliśmy żydów oraz wszystkie wyznania niekatolickie, jeżeli, jako bierny i na bierność skazany, odtrącimy lud — cóż nam pozostanie do walki o byt? Papieskie królestwo polskie jest bardzo małe, zadanymi związkami niewzmocnione — skądże ono tak wielką napawą nas dumą i pobudza do skąpego rozdzielania praw obywatelskich? Rzym był jeszcze mniejszy a jednak tego prawa jeszcze bardziej skąpił — tem chyba tylko argumentem pocieszać się możemy, zastąpiwszy rację porównaniem. Niestety, z metafory nie da się uprząć praktyczna reguła życia, nie wystrzeli wskazówka rozumnego postępowania, nie zmusi do milczenia rzeczywistych potrzeb, nie złagodzi twardych warunków. Iluzya nie usunie nam z drogi ani jednego kamienia, ani jednego ciernia.

Po ciężkiej walce z głodem i kulami pruskiemi podezas obłężenia, po krwawych scenach Komuny, jednym z najżywszych wspomnień, drgających dziś w Paryżu, jest mglisty poranek grudniowy, kiedy liczne plakaty z podpisem *Napoleon* oznajmiły zgnębionej stolicy nową erę ucisku. Z ust do ust krążyły tajemnicze wieści o nocnych aresztach, liczne kolumny wojska głośno przeciągały po przedmieściowych zaułkach, pamiętnych z nieustraszonej wierności rewolucyjnej spuściznie. Do odparcia ohydnych gwałtu sił już brakło. Dusiciel znalazł swoje rzemiosło, ofiara słabo zadrgała tylko. Głos Baudina był raczej jękiem śmiertelnym, niż krzykiem obrony. Piersi nastawiły się pod kule po to tylko, aby brak krwawego protestu nie uprawił uzurpacyi. Tem tragiczniejsze wrażenie zostało. Do dziś w szpitalu pełno jest ofiar, obłąkanych niewygasającą obawą gwałtu. Pozostały one jak żywe pamiątki tych chwil okropnych, kiedy przemoc wydzierała z rodzin synów, ojców, braci i wiozła daleko... za morze... do Kajenny.

Trzydzieści lat minęło. Znowu taki sam poranek i znowu takie same plakaty. Podobny ton i toż samo imię.

Książę Plon-Plon, przedrzeźniac chciał wuja i brata (!) stryjecznego. Ale czasy się zmieniły. Przewrotne słowa odezwy nie wywołują już teraz bladej twarzy, nie rzucają zgrozy milczenia wśród czytającej gromadki. Szyderycy uśmiech i gryzące słowa są dostateczną odpowiedzią na zuchwałe pretensje.

„La France languit“*) — woła Hieronim Bonaparte. Wszystko się rozpręga.

*) Francya zamiera, cierpi.

Rzeczpospolita prowadzi naród do zguby. Niema pola, na którym nie szlibyśmy do przepaści. W polityce zagranicznej klęski same. Wojska niema. Administracja rozluźwana. Finanse w upadku zupełnym. Izby bezsilne. Ratunek dać może jeden tylko człowiek, a tym człowiekiem jestem *Ja* — spadkobierca wielkiego imienia i 8-miu plebiscytów.

O Sedanie naturalnie ani słowa.

Trzydzieści lat temu książę-prezydent miał za sobą blask sławy wuja i co najważniejsze, trzymał w rękę wojsko, skarb, całą machinę państwową. Dzisiejszy niefortunny kandydat ma tylko przeświadczenie znacznej części ludności, że gorzkie słowa jego krytyki są prawdą dzięki długoletniej napoleońskiej gospodarce.

To też nie oceniono w nim pięknej cnoty męstwa, nie oddano sprawiedliwości za cywilną odwagę wypowiedzenia prawdy w oczy panującemu wrogowi, a natomiast przy tryumfalnych oklaskach całej prasy republikańskiej zaprowadzono go do kozy, aby tam się mógł gruntownie namyśleć nad skutkami postępu. Nawet główny hetman bonapartystowskiej rzeszy, Cassagnac, dodał biczowanemu ze swojej strony szturgnięcie, najdotkliwsze może. Brutalny skandalista z Izby zbesztal wprost w *Pays* pretendenta. Wogóle w całym obozie bonapartystycznym książę miru wielkiego niema. Za czasów monarchii lubiał sobie szyku zadawać republikańską niemal liberalnością. Już po wojnie nawet oburzał nieraz całą prawomysłność skandalicznym kokietowaniem z lewicą.

Kiedy tyle obiecujący jedynak Eugenii legł na pociechę Francji u Zulusów, bonapartyści znaleźli się w kłopotcie, boć partyi monarchicznej bez kandydata istnieć trudno. Poradzono sobie w sposób oryginalny dosyć, rzucono anatemię na ojca i uszczęśliwiono nadzieją korony syna jego, Wiktora, kilkonastoletniego malca, końącego nauki w gimnazjum (obecnie służy jako ochotnik w artylerji). Ojciec się oburzył, ustąpić nie chciał i nawet w imieniu niejako syna potępił ten manewr w odezwie. Słowem partya, co chce ład zaprowadzić w Republice, zabijała się śmiesznością i wewnętrzną anarchią.

Wobec tego dziwnem wydać się może, że aresztowano księcia za śmieszny wy-

SZKICE WIEJSKIE.

I.

Wojtkowa.

Wojtkowa była córką zamożnego gospodarza ze wsi Gralewo.

Jedynaczka, między sześcioma braćmi, była pieszczochą tatulów. Otłowscy słynęli z dorodnych ludzi. Synowie — parobczaki wysokie a barczyste, przerastali zawsze starszych od siebie. Zochna, nie szpetniejsza od braci, także wyrosła. Chociaż szczupła i bladawa, za co ją też bracia kiedy-niekiedy „śnicia“, lub „zamorscykiem“ zwali, szykowna jednak była, a zmyslna!

Spojrzy tylko ukradkiem na chłopaka, to już tamtemu oczy aż się śmieją. A wygadana!

Na łące, w chałupie, przy robocie, zawsze jej głośno słycać. Chłopaki mówili o niej: „uciesna“, a dziewczęta, jakby z wymówką, „dwórka, czy co.“ Zośka niedługo u tatulów siedziała. Dawno już z pod oka spoglądała na Wojtkę a i on nie odwracał się od niej; gdzie zaś, lubił ją i przestraszyć i pogonić, przy myciu owiec zawsze ją wepchnął w wodę, w smigus nie uważał nawet na pstrą sukienkę, tylko pełne wiadro wody wylewał na nią z wierzchu.

Wiedziała dobrze, że Wojtkowi chodzi po głowie ożenek i ośmielała go; to też ledwo jej się „obróciło“ na 17 rok została panią Wojciechową.

Wojtek był parobkiem we dworze; przez oszczędność i pracę zebrał sobie jednak trochę grosza. Zośka wniosła też coś w posagu, a że była porządną i skrzętną, więc chałupę obszykowała, jak dworek. Zdaleka widniała ta chałupa, bo ją zawsze wybieliła, a przed domem umieszczono co dzień, a w izbie aż duszno od zapachu kwiatków, które ciągle kwitły, jakby na zawołanie.

Mawiały sąsiadki:

— Wojtkowa i plotkę puści, i po wsi przeleci się, a w domu porządek, jak u żadnej z nas; zle jej pomaga, czy co!

A już, jak płótno zrobiła, to nie znaleźć takiego na całej parafii. Niepotrzeba cięszszego jak Kalinowska wyrabia, a niepodobało się do tamtego. To też w miasteczku je znano. Na jarmarkach obstępowali ją płóciennicy, żydzi, a nawet baby z okolicznych wsi, a każdy więcej obiecywał.

Wojtkom więc życie szło rażno i wesoło, dopóki nie zaczęły się rodzić dzieci: co dwa lata przybywało jedno, ale zawsze nieżywe. Baby kiwały głowami, Wojtkowie płakali i chowali trumienkę za trumienką.

— Możeby „arkusierkę“ — wtrąciła kiedyś leśniczka.

— Moja kumo, co tu jej głowa poradzi! Nasłanie już takie i tyła — tłumaczyła Wojtkowa. I kropielnicę kupiłam, i do

choregwi przyłożyłm się i nie nie pomogło!

W święta kobiecisko całą mszę krzyżem leżała i w głos płakała, że aż ludziom przykro było; ale znów nową trumienkę grzebała.

— Idź ty znów Zośka do proboszcza — mówi jej Wojtek, on ci jaką radę da. Pan Bóg miłosierny!

I poszła. Spowiadała się, wyplakała i jakos raźniejsza wróciła do domu. Ksiądz kazał świecę do wielkiego ołtarza kupić i kilka ręczników.

— Możeć Bóg się zmiłuje — mówiła Wojtkowa; nie pożałuję tych kilku groszy na jego chwałę. Kupiła sześć ogromnych świec. Napróżno jej tłumaczyli, że za duże i za grube, wołała:

— Niech będą większe, ja nie żałuję grosza, pan Bóg się zmiłuje!

Ręczniki zrobiła z własnego płótna. Chciała, co prawda, kupić, bo żałowała psuć swego: jej było szerokie, a ręczniki są, jak wiadomo, wąskie, półlokciowe.

Poradziła się jednak dworskich i zganiłi jej. Mówili:

— Co tu żałować! Panu Bogu na ofiarę, to warto.

I posłuchała. Pocięła płótno na sześć ręczników i razem ze świecami zaniósła do kościoła proboszczowi.

— Jak się wspomozemy w grosz — mówiła — sprawimy jeszcze lampkę, żeby tylko Bóg dał szczęśliwe zgnięcie.

Nie doczekała się jednak biedaczka upragnionej córuchy. Dziecko, jak zwykle,

byk, za odezwę o wiele słabszą, niż codzienne głosy socjalistów a jeszcze bardziej, że deputowani okazali widoczną skłonność do przyjęcia doraźnego projektu Floqueta: wyrzucić z Francji wszystkich pretendentów i odebrać im prawo zajmowania jakiegokolwiek stanowiska. Monarchiści wszech odcieni jak w trąby dają o despotyzmie, o nielogiczności itd. Rzeczywiście niedorzeczną by była taka chęć wieszania kowala za winę słuszarza, gdyby sprawa nie miała zakulisowych dodatków.

Plon-plon pośpieszył się z odezwą, aby uprzedzić legitymistów, którzy gotowali się z wystąpieniem na 30 b. m. Jak jedni tak i drudzy nie spodziewali się odnieść zwycięstwa i dojść do czegoś, ale chcieli jedynie skorzystać ze śmierci Gambetty. Republikanie bez przywódcy nie potrafią się znaleźć, narobią pewnie głupstw; jaki wspaniały pretekst do burzenia ludności! Powtórze za odezwami stoją nieustające spiski. Gazety opowiadają o *Alliance catholique*, która z milionami wręku gromadzi w legiony malkontentów i za lat kilka będzie miała siłę wypowiedzieć Republice wojnę. Dzienniki monarchiczne dochodzą do niesłychanej zuchwałości. O republikanach nie mówią inaczej jak: „zbiry.“ Rząd spotwarzają najniegodniej, co chwila przepowiadają upadek, trwożą umysły. Książę Hieronim opowiadał, iż szwagier jego, król włoski, prosił go o wstrzymanie się z wystąpieniem na rok choćby, ale on się bał, że Francja nie przeżyje roku pod rządami Republiki.

Pomimo to wszystko banicja nie jest tyle potrzebną dla bonapartystów i legitymistów, co dla następców Ludwika Filipa. Jak napoleoniści wszyscy odznaczają się przewrotnością korsykańską, tak orleaniści — przewrotnością, mogącą zaćmić sławę greków. Powierzchnownie wyrzekli się oni widoków swoich, uznali niby istniejący stan rzeczy, a z drugiej strony tajemnie dążą do opanowania wszystkiego.

Kilku z nich zajmuje wysokie stopnie w armii i marynarce. Wszyscy prawie potentaci finansowi należą do ich obozu. Chodzą pogłoski poważne, dotąd niezaprzeczone, że bankierzy tutejsi (Rotschild między nimi) udali się do Brissona, prezyden-

ta Izby, z groźbą, iż w razie wydalenia Orleanów, giełda odpowie wielką zniżką. Każda dynastia ma po za sobą jakieś dodatnie, choćby poetyczne wspomnienia. Tylko potomkowie księcia Egalité byli zawsze zgrają, popychaną najbardziej poziomymi instynktami. W rocznikach ich rodziny nie brak krwawych plam od sztyletu i trucizny, a wszystko prawie dla miłego grosza. Za cesarstwa (może nawet za prezydentury Napoleona) wydano ich i skonfiskowano dobra.

Cały czas jęczeli, wdychali: skażcie nas na najcięższe, najbardziej upokarzające prace, ale pozwólcie oddychać powietrzem ojczystem. Republika otworzyła im wrota do utraconego raj i cóż? Pierwszym aktem ich ucież obywatelskich było procesowanie się z państwem o 40 milionów, zabranych niegdyś przez Napoleona. W owym czasie Francja płaciła 5 miliardów. Ponieważ Zgromadzenie również czychało na zgubę Republiki, więc też łupiestwo Orleanów uwięzione zostało pomyślnym skutkiem. Tu i owdzie przebąkują od jakiegoś czasu o kandydaturze księcia d'Aumale (syna Ludwika Filipa, generała dywizji) na prezydenta po Grévy'm. Kombinacja ta do nieprawdopodobnych nie należy. Republikanie poważnego kandydata nie mają, Gambetta już nie żyje, a przez silnych pleców bankierskich, książę będzie miał po za sobą cały dawny *centre gauche* w Izbie i w Senacie. W Izbie, co prawda, partya ta nie jest już dziś siłą, ale przy sprzyjających okolicznościach może się wzmocnić i zyskać z różnych stron sprzymierzeńców.

Słowem Orleani są dla Republiki niebezpieczni, nie więc dziwnego, że większość Izby korzysta z oburzenia ludności, wywołanego wspomnieniem zmory 52 roku i chce uwolnić kraj od wszystkich naraz pretendentów do ucisku. Otwarcie i zamaskowani monarchisci, a nawet częściej szczerzy republikanów, protestują przeciwko temu w imię swobody. Ukarac winnego, ale nie uciekać się do środków, którymi wojowali despotci.

Frazyse te ładnie wyglądają z wierzchu tylko. Przesadzenie w szanowaniu wolności kilkunastu drapieżników może narazić na zupełną jej utratę całą Francję. Książątka pojada sobie hulać w Wiedniu,

Londynie, Rzymie, jak hulają dziś na bulwarach w Paryżu, a tymczasem zbytnia rycerskość Republiki może mieć za pośredni rezultat wywiezienie całych setek wionych obywateli na męczarnie do Kaledonii. Izba ma obowiązek zrobić wszystko, aby od nowych klęsk uchronić republikanów. Pretendentów do tronu, którzy się sami wyłamują z solidarności narodowej, nie można traktować na podstawie praw powszechnych.

Bardzo być może, że wniosek Floqueta przejdzie przez Izbę, ale Senat zatrzyma go na pewno. Tam większość republikańska składa się w połowie z Orleanistów przyczajonych. Ta okoliczność skłoniła rząd do przedstawienia innego wniosku, mniej stanowczego, któryby dawał ministrom, w razie potrzeby, dosyć obszerną dyskrecyjną władzę.

Gdyby jednak Izba stanowiącą jednozgodnością wszystkich republikańskich odłamów projekt wygnania poparła, to Senat by się mógł zawahać co do decyzji. W przeciwnym razie, jeżeli stanowczego kroku nie da się postawić, powinni księcia Hieronima ośmieszyć skazaniem na 30, 40 fr. kary. Z tego rycerza smutnej postaci — męczennika robić nie należy.

Po ostatecznym odniesieniu zwycięstwa nad reakcyjnymi żywiołami, kilka lat temu, Gambetta powiedział: „Skonczyły się niebezpieczeństwa, a zaczęły się trudności“. Nigdy dawniej nie myślałem, ażeby te słowa były tak prawdziwe. Czem więcej wpatruję się w tok spraw tutejszych, tem wyraźniej widzę cały ogrom trudności, z jakimi Rzeczpospolita walczyć musi. Księcia Napoleona aresztowano na podstawie artykułu następującego brzmienia:

„Zamach, mający na celu, czy to zniesienie lub zmianę rządu, lub porządku następstwa tronu, czy to podburzanie obywateli do zbrojenia się przeciwko władzy cesarskiej, karany będzie zesłaniem do fortecy.“

Jestto próbka chaosu, jaki panuje w sądownictwie, które we dwanaście lat po upadku Napoleona posługuje się cesarskimi formułami przeciwko cesarskiemu kandydatowi. Toż samo jest mniej więcej wszędzie, we wszystkich działach. I cóż dziwnego. Rzeczpospolita istnieje na prawdę lat parę tylko, od tego czasu Izby zajmo-

przy nieumiejętnej pomocy, urodziło się nieżywe. Wojtkowa mdlała raz poraz; kiedy oprzytomniała, wołała zaraz o dziecko. Baby wzdragały się.

— Śpi — mówią, odpocznijcie trochę.

Zoska spojrziała na nie i na Wojtkę — odgadła prawdę. Porwała się z łóżka ze straszonym płaczem i upadła bezsilna. Łamała ręce, zawodziła żałośnie, jak każda chłopka w pierwszych chwilach swego nieszczęścia. A nocy straciła przytomność. Przy łóżku żony Wojtek płakał rzewnie.

W kilka dni chował dwie trumny, a jedną maleńką. Za trumnami szedł jak struty. We wsi kumy kiwały głowami, inne płakały, inne znów rozmyślały, do której też dziewczuchy wdowiec uderzy. Chłop, jak malowanie — mówili i młody jeszcze.

A przy trumnie Wojtkowej paliły się owe ofiarne świece...

II.

Narzeczeni.

Balbika, choć biedna dziewczucha i niezbyt urodziwa, ma aż dwóch kawalerów. Matka jej radzi Kaźmirza, bo bogaty i szykowniejszy, ale Balbika woli pewniejszego, a Józef jest pewny: rozmiłował się w dziewczynie nie na żarty. Robota mu nie idzie weale, bo choć on, co prawda, nigdy nie spracował się, a lubił przy robocie zdrzemnąć, jednak do wieczora cośkolwiek „zmadrował.“ ale teraz tylko tam posyła oczy, gdzie się Balbiki domyśli. A domy-

ślić mu się łatwo, bo dziewczynie gęba nie próżnuje, za głosem więc obraca się Józef i wpatruje się w dziewczuchę.

Józef jest flegmatyczny, mówi mało, ale dobitnie i dotrzymuje zawsze słowa. Miała Balbika dowód.

— Nie chodź ty — mówił jej raz — na granie, bo cię zbije.

Tańcować sam nie umiał, ale lubił patrzeć na tańczących. Zanim Balbikę poznał, spoglądał obojętnie na pary; ale kiedy się w dziewczusze rozmiłował i widział, jak ją ciągle inny chłopak w pół trzyma, a raz Kaźmirz całą noc nie puszcza, tylko jeszcze w polce trzęsionce w oczy patrzy i ciągle coś szepece, wtedy chłopakowi krew zawrzała i zapowiedział Balbice, żeby się nie ważyła iść na granie, bo jej kości połamie.

Balbika się tylko roześmiała i w sobotę poszła „gulać“, jak zwykle.

Józef słowa dotrzymał, kości wprawdzie nie połamał, ale dał parę razy pięścią w kark.

I pięści poskutkowały. Balbika na tańce więcej nie poszła.

Było jednak dużo hałasu. Matka po wsi lamentowała, że Józef jeszcze przed ślubem dziewczuchę zbili, Balbika też przez długi czas nie spojrzała na niego, ale przyszedł odpustna „świętem miejscu“ i wszystko się załagodziło.

Józef umiał pisać; przed odpustem jeszcze napisał do Balbiki list, który sam jej oddał.

Dziewucha przez ciekawość pismo przeczytała, przeczytała je matce raz i drugi, przeczytała i innym dziewczuchom a wszystkie razem osądziły, że to pisanie możnaby drukować.

Było tam serdeczne przeproszenie za dane pięści, było wiele o tem, jak Józef Balbikę lubi, a w końcu była śpiewka o Stachu za morzem i Zośce tęskniącej. Piosnką poradził zakończyć list Franek, co z wojska wrócił, i właśnie ona najwięcej rozrzewniała Balbikę. Kiedy więc wypadł odpust i cała wieś wyruszyła jeszcze na noc, już Józef z Balbiką z jednej książki pieśni śpiewali i na „świętem miejscu“ koło jednego ogniska zasiedli.

— Nie łaż tylko tak wciąż za mną — perswadowała Józefowi — bo ludzie patrzą.

Józef odstępował, ale zaraz wracał, to z pomarańczą, to z piernikiem.

— Oszałał chłopak — mówili stare baby — co on w tę dziewczuchę nie napcha!

A Balbika tymczasem gryzła orzechy. Myśli sobie, że jednak Józef to pocziwe chłopisko, że mu wszystko daruje, a w chałupie nawet uściskać pozwoli.

I rzeczywiście, między młodymi przyszło do zupełnego porozumienia.

W sobotę zanieśli księdzu na zapowiedzi. Józef dochodząc do kościoła, spytał Balbiki, czy „straśnie się boi artykułów i pacierza.“ Balbika tylko ruszyła ramionami.

— Przecież go mówię codziennie, a i przykazania także.

waly się dzieleniem na stronnictwa, przetrucaniem śmiesznymi zarzutami, zwalaniem ministerów. Przeszły rok cały wszelkie komisje pracowały bardzo, ale czy można było co zrobić, kiedy setki prawie doktrynerów łączy się co krok z prawicą, nie chcąc słyszeć o niczem, co w części tylko, a nie od razu, urzeczywistnia testament konwencji, miliony tymczasem narodu nie dorosły do radykalizmu paryskich i marsylskich deputowanych.

Niema i wcale się na to nie zanoszą, aby w krótkim czasie stworzyła się partya rządowa silna, taktowna, zwarta w sobie i wyćwiczona. Gambetta byłby może za lat kilka doszedł do tego, a teraz?

Strach doprawdy bierze spojrzeć na podziemną, niszczącą robotę reakcyi, na którą ostatnie zdarzenia tyle światła rzuciły. Prócz tego nie ustaje podkopywanie fundamentów Republiki; z innej strony rewolucyjni marzyciele wzdychają też do tych czasów, kiedy każde nieostrożne słowo było wystarczającym powodem do śledztw i kar. Po ucisku następuje rewolucya; przy takim stanie rzeczy jak dziś, ona może nie nastąpić nigdy. Zaciekłość nie pozwala im widzieć dodatnich stron wolności ostatnich lat; dla nich swoboda słowa, myśli, zorganizowanie szkół — wszystko nie, wszystko *burżuazne oszustwa*. Słowo: burżuazya stało się w logice rewolucyjnej czemś podobnym do wymarzonego niegdyś w medycynie lekarstwa powszechnego. Daje się ono zastosować wszędzie, do wszystkiego i do każdej osoby, stanowi argument, przeciwko któremu niema odporu. Ponieważ nieprzeszkadzano mówić im, co tylko ślina na język przyniosła, grozić śmiercią Gréwemu i Gambecie, spotwarzać i wymyślać, więc posunęli się dalej; jak dzieci drażnić się zaczęli z władzami. Wywołane na ich własne żądanie procesy opiewają tragicznie, jako dowody despotyzmu burżuazyi.

Siły i możność kolektywistów-rewolucjonistów, jak również wyznawców anarchii, są bez porównania słabsze, niż monarchistów (ci mają 100 krzesel przeszło, a tamci 1 tylko).

Można by też było nie zwracać uwagi na ich wybryki, gdyby nie drażniło to ślepe dmuchanie na skrzydła reakcyjnych wiatraków. Przywódcy królewskich partyj

są zręczni i potrafią doskonale wyzyskać niechęci obudzone przez pracowników nieładu. Jeżeli ciągną gmatwanina i niepokój sprzykrzą się ludności, to z pewnością oratunek niezwroci się onado anarchistów, ale pierwszego lepszego pretendenta, który spokój zapewni.

Ponieważ za pokazywanie języka politycyantom nie sadzono do kozy, lub wypuszczano natychmiast, więc wezwano na pomoc dynamit. Zaszły smutne wypadki w Motceau-les-Mines, potem w Lyonie.

W pierwszych zajściach propaganda czynu wielkich owoców przynieść nie mogła. Ludność miejscowa nie zbyt gorąco zapewne upomina apostołów, których rady ściągnęły takie smutne następstwa. Przystęgli w Riom polityczną część sprawy zupełnie usunęli, 14 oskarżonych uwolniono zupełnie, 9 skazano jedynie za kryminalne gwałty.

K. T.

Przegląd słowiański.

I.

Slovansky sbornik. Lužica.

W rubryce niniejszej, której wprowadzenie do *Prawdy* usprawiedliwia, sądziemy, dostatecznie zamieszczonych poniżej kilka zdań, postanowiliśmy zaznajamiać czytelników z działalnością pobratymców naszych głównie na polu literacko-naukowym, nie spuszczać jednak z oka i innych objawów życia narodowego, z którymi ona nierozdzielnie jest złączoną. „Przegląd“ nasz nie będzie oczywiście wyczerpującym; w rozmiarach bowiem, które mu przeznaczamy, pomieścić zdołalibyśmy za ledwie suche zapiski bibliograficzne, a i na te, przy rozwiniętym dziś ruchu piśmienniczym, zbrakłoby nam już może miejsca. Ograniczać się zatem będziemy na notowaniu takich tylko objawów, które z całej masy innych sobie podobnych, mniej jednak doniosłych, wyróżniają się będą wartością swą i niepoślednim znaczeniem.

Szerokiem myśl słowiańska płynie dzisiaj korytem!... Wąski strumyk dawnej

„wzajemności“ rozrósł się z czasem, zmęzł i z wolna wyźłobił sobie przestronne łożysko, a choć wiele utracił z dawniejszej swej wartości, zyskał natomiast nieporównanie więcej na powadze, i... rozmiarze. Myśl słowiańska zbudziła większą część pobratymczych nam ludów do nowego żywota, stworzyła, przeniknęła na wskrós i niezatartem naznaczyła piętnem ich piśmiennictwa, wydobyła nakoniec na światło dzienne wielkie zagadnienia polityczne, ciągle jeszcze wyciekające rozwiązania...

Przyczyny, których bliżej rozierać tu nie będziemy, przez długi czas trzymały nas zdala od tego ożywczego prądu... Byłoby wynikiem zdrowego rozumowania rzeczy, konieczności czy uprzedzenia? Nie będę rozstrzygał dorywczo tego ważnego pytania, zaznaczą tylko skutek: zachowaniem naszym nie zyskaliśmy podobno nic, a straciliśmy wiele... To usuwanie się, bodaj czy nie tamowanie ogólnego prądu postawiło nas na fałszywym wobec pobratymców stanowisku, wśród których ciągle jeszcze czujemy się potroszę obcymi...

Gdzieindziej idea duchowej jedności słowian o wiele głębsze zapuściła korzenie. Taką klasyczną ziemią wzajemności słowiańskiej są przedewszystkiem Czechy. Poczucie jedнопlemienności z resztą słowian, sympatya ku pobratymcom przenikły tam od góry aż do podstaw wszystkie warstwy narodu, który chlubi się, że wydał autora *Narodopisu slovanského* i piewę *Dcery Slavy*. Sympatye te i słowiański, że go tak nazwiemy, kierunek w literaturze spostrzegamy do dziś w całej pełni niezmiennione. Przesiąkła niemi cała literatura a niema może czeskiego pisma, któreby mniej albo więcej nie poświęcało miejsca na zaznajamianie czytelników swoich z literaturą, przeszłością i terażniejszością bratnich ludów. Doszło wreszcie do tego, że okazała się potrzeba założenia osobnego organu, któryby wyłącznie temu tylko służył celowi.

Wydawnictwa takiego podjął się znany i u nas dobrze a z takiej tylko strony, że nazwisko jego już i bez *p.* możemy tu napisać, niepośledni znawca stosunków naszych, Edward Jelinek, którego imię coraz piękniejszymi wpisuje się głoskami w rubrykę *habet* księgi długów i wierzytelności naszego narodu. Pismo przezeń wydawa-

Józiek westchnął zazdrośnie. Niezupełnie był pewny, czy mu „ojcze nasz“ pójdzie dobrze. Pomyślał tylko: żeby ksiądz nie chciał przerywać, a do Balbiki rzekł: — dopowiedzmi czasem.

Dopowiadanie jednak okazało się nieskutecznem. Józiek szczęśliwie dociągnął do „wierzę“, ale tu już całkiem rady dać sobie nie mógł; pominąwszy to, że Piłata Pontskiego zrobił Płońskim (tłomaczył się potem, że mu wciąż był rymarz na pamięci, tegoż nazwiska; ale to był tylko wybieg, bo w Józwowej wiosce wszyscy „wierzę“ tak samo mawiali): wcale do końca pacierza nie mógł się dobrać. Co dojechał do: „sądzić żywych i umarłych“, to znów od początku retytował „wierzę“ z dobrą miną. Powtórzyło się to ze cztery razy, także już Balbice gorąco się robić zaczęło, a i ksiądz się zniecierpliwił i przeszedł do „artykułów.“ Józef odetchnął, a jeszcze mu lżej się zrobiło w piersi, gdy usłyszał takie łatwe pytanie:

— Na czem stoi kościół?

— Na ziemi — odpowiedział bez namysłu i zupełnie z siebie rad.

Radość okazała się przedwczesną, bo księdza jego odpowiedź wcale nie zadowolila. Owszem, skrzywił się nawet i podejrzliwie spojrzął na Józefa, jakby po wątpiewał o rozumie chłopaka. Potem wyłożył mu z możliwą zrozumiałością, że kościół stoi na wiernych, dawał przykłady i z pojedynczych osobistości jak: apostołów, pisarzy kościelnych, misjonarzy oraz i z całych zgromadzeń zakonnych, jak: je-

zuitów, augustyanów. Chłopak wszakże nie mógł pojąć, jak mógł kościół stać na ludziach i został przy swoim przekonaniu. Zdaje się, że go i wieś poparła, bo zaraz w niedzielę nazajutrz, na zebraniu u sołtysa, Józiek opowiedział swoje „męki pacierzowe“ i „artykułowe“, chwalił się, że odważnie odpowiadał i wyraził pewne zdziwienie, co do budowania kościołów na apostołach. Wszyscy jednogłośnie rozśmiali się z niego; przesłyszales się, zawyrokował sołtys, każdy przecież wie dobrze, na czem człek buduje. Młynarz gaduła skorzystał ze sposobności i pochwalił się, że żaden z młodych nie słyszał takich trudnych „artykułów“, jak on.

— Bo — powiada — wyobraźcie sobie, mospaneczku, pyta mi się ksiązek: który artykuł z „wierzę“ ułożył każdy apostoł? Dalizbyscie sobie radę co?

Sołtys wątpił, czy i młynarz dał sobie radę, ale młynarz twierdził, że nie tylko po kolei, ale i ze środka każdego apostoła nazwał i każdy artykuł jego wymienił.

— Organista nawet tego nie potrafił — mówi — bo się potem dziwował, ale ja się już tak wszystkiego z ksiązeczki wyczylem.

Przyznał jednak, że i on by na pytanie Józefowi dane nie inaczej odpowiedział.

Balbice pacierz poszedł zupełnie gładko, z artykułów odpowiadała dobrze, dopóki była mowa o ilości Bogów i ich zamieszkananiu, ale oniemiała, kiedy ksiądz rzucił:

— Jakie miał Chrystus oczy?

Czy to, że obrazów posiadała w domu mało i blade, czy, że nigdy nie zwróciła uwagi na wymalowane oczy, dość, że pytanie wprawiło ją w kłopot. Z kłopotu jednak prędko wybrnęła. Spojrzała na Józefa i odważnie powiedziała:

— Modre!

Dziewczynie oczy Józka zdawały się najpiękniejsze, były jej najmilsze, bez wahania dała je Chrystusowi.

Ksiądz proboszcz był dobrotliwy, spojrział więc pobłażliwie na dziewczynę i dodał w formie poprawki:

— Miłosierne, miłosierne były, moje dziecko.

Balbika była z siebie zupełnie zadowolona, poprawkę księdza przyjęła, jako dopełnienie swej odpowiedzi. Ucałowała też ręce dobrodzieja, żegnając go; Józef zrobił to samo, ale markotny, a już całkiem nos spuścił, gdy mu ksiądz postawił warunek: douczyć się pacierza! Obojgu jeszcze zwrócił uwagę, że się źle żegnają; na „amen“ trzeba ręce złożyć! Pamiętajcie mi o tem. Podobno Józef zdążył ze złożeniem nigdy nie mógł, ale go jakoś sama Balbika przyuczyła, tak, że ksiązek nie powinien był mieć najmniejszego powodu do niezadowolenia z młodej pary. Jednak na zebraniu karcianem skarżył się do swoich kolegów, że ten nasz lud taki jeszcze ciemny. Zdaje się, że miał na myśli ową nierozumną odpowiedź Józefa, ale jej głośno nie wypowiedział.

X. X.

ne nosi tytuł *Slovansky sbornik*. Z pierwszym tomem tego użytecznego wydawnictwa zaznajomiliśmy czytelników *Prawdy* wkrótce po jego ukazaniu się w zeszłym roku, rokując mu piękną przyszłość. Z zadowoleniem też prawdziwom konstatujemy teraz, że nadzieje nie zawiodły nas wcale. Przedewszystkiem *Sbornik* zamienił się na miesięcznik, co oczywiście tylko na korzyść wyjdzie tak samemu pismu, jak i jego czytelnikom. Co zaś do treści, w którą zaopatrują go nie tylko z przejażdżki koleją znający Słowiańszczyznę pisarze, to jeżeli o całym zeszlórocznym tomie powiedzieliśmy, że była obfitą i urozmaiconą, możemy śmiało to samo powtórzyć równie już i o pierwszych dwóch, doszłych nas właśnie poszytach z r. 1883. Znajdujemy tu najprzód rozprawę zmarłego już starożytnika i poety czeskiego K. J. Erbena o boginiach słowiańskich *Widach v. Sudicach*, wspomnienia J. I. Kraszewskiego o *Pińsku i Polesiu pińskim* (z rysunkami), nadzwyczaj zajmujący, choć smutny obraz obecnego położenia ludu słowackiego, wprawem skreślony piórem bardzo dobrze z tamtejszymi stosunkami obeznanego Jaroslawa Vlezka, po czem następuje artykuł Jelinka o wystawie moskiewskiej z r. 1882. Statystyka szkół ludowych na Czarnych Górach, zestawiona przez Józefa Holeczka, autora ślicznych nowel, osnutych na tle życia ludu czarnogórskiego, opis podróży po kraju słowiańców (Ottokara Mokrego), H. Klimy kartka z dziejów oświaty południowych słowian p. t. *Dobroczyńcy serbskiego narodu*, wreszcie studjum J. Hudeca o poezjach bułgarskiego poety Jana Vazova — odślaniają czytelnikowi wiele stron życia narodowego na południu Słowiańszczyzny, tak mało nam, powiedzmy prawdę, znanej dotychczas. Wyłącznie prawie polskimi zajmujący się stosunkami redaktor *Sbornika* pomieścił tu jeszcze parę kartek z większego swego dzieła (*O upadku i odrodzeniu Polski*) p. t. *Czartoryscy w Pałachach*, a znany (obecnie podobno, jak się ze smutkiem dowiadujemy, cierpiący na umyśle) ukraińiec Czubiński szkic etnograficzny, w którym zapoznaje nas z życiem rodzinnem Małej Rusi.

Wyliczyliśmy tu większe tylko artykuły dwóch pierwszych zeszytów *Sbornika*, o którego bogactwie może już, sądzimy, mimo to powiwać czytelnik, choćby z powyższego spisu, korzystne wyobrażenie. Gdy jeszcze dodamy, że każdy zeszyt zaopatrzony jest w sporą wiązaną ocen, przeglądów i uwag literackich, to sądzić, że pisma p. Jelinka nie potrzebujemy już wcale zalecać silniej wszystkim tym, którym czyta nie w języku czeskim nie sprawa zbyt trudności. Jestto jedyne w swoim rodzaju na całym obszarze Słowiańszczyzny wydawnictwo, którego wartość podnosi nadto jeszcze wiele uczciwość tendencji i zupełna niezależność od jakichkolwiek wpływów politycznych, od których żadne może, *Sbornikowi* podobne pismo nie zdołało w całej pełni się wyzwolić.

Z kotliny górnej Łaby i Weltawy, z murów „złotej“ a obecnie już i *par excellence* „słowiańskiej“ Pragi, wyprowadzam cię czytelniku na drugą stronę gór, od północy ziemię czeską okalających, do krainy dwu najmniejszych ludów słowiańskich, do Łużyc, ojczyzny górnych i dolnych serbów. Pierwszych liczą zaledwie sto, drugich jeszcze mniej, bo tylko szeszedziesiąt tysięcy. Są to więc rzeczywiście ludy w słowiańskiej rzeszy najmniej liczne, bo nawet resztki dawnych pomorzan, kaszubi, jeżeli mamy ich uważać za lud od polaków odrębny, zrachowawszy przerzedzone swe szeregi, naliczyliby głów swych przecież jeszcze więcej, niż lużycko-serbskie narodki, razem wzięte.

Prawdziwie mikroskopijne rozmiary słowiańskiej lipy gałązek nie przeszkadzają im mimo to z całą siłą opierać się mro-

źnym, ze wszystkich stron zawiewającym wichrom niemieckim. Podziwu godna to wytrwałość. Zasługuje ona ze wszechmiar na uznanie a usiłowania patryotów lużyckich na poparcie, którego im bardzo, bardzo trzeba... Lud lużycki jest biedny; niema tam szlachty, rozległe dzierżącej dobra, jak u nas, ani mieszczaństwa bogatego, tylko wieśniacy i rękodzielnicy, lud roboczy, i ta patryotyczna garstka ludzi inteligentnych, niemniej ciężko, jak bracia ich od pługów i kielni, na codzienny kawałek chleba pracujących.

A potrzeby lużyczan, jeśli zważymy, jak brutalnie przygniata ich prawo niemieckie, są wielkie i liczne. Wiadomo przecież, że w ojczyźnie „wielkiego“ narodu tylko przy ognisku domowym, w kole rodzinnem, mowa germańska jest tolerowaną. Toż każdy naród, którego los nienawistny zamknął w dzisiejszego niemieckiego państwa granicach, ciągłych dokładać musi starań, aby mu nie wydarło ojczyźnego języka, tej najdroższej po nieopatrzonych przodkach spuścizny. Baczą na to i lużycanie, ale choć duch ich silny, słabe zasoby materyalne nie pozwalają im wzmocnić należycie zagrożonego na wszystkich punktach stanowiska. Przychodzą im wprawdzie z pomocą inni słowianie, szczęśliwszej od nich doli zażywający — pomoc to przecież, jak dotychczas, wcale niedostateczna.

Jednym z najpotężniejszych czynników, podtrzymujących poczucie narodowe w serbach lużyckich jest bez wątpienia — literatura. Na szczęście rozwija się też ona stosunkowo dosyć pomyślnie. Lud serbski czyta chętnie i wiele czyta, o ile przynajmniej wnosić możemy z liczby wychodzących książek i czasopism lużyckich. Dolni lużycanie posiadają wprawdzie tylko jedno pismo (*Bramborske Nowiny*), ale natomiast górni ich bracia mają obecnie pism sześć, z których cztery dla ludu (1 polityczne, 2 religijne a 1 ekonomicznej treści), dwa zaś dla klasy wykształcenijszej (naukowy *Czasopis Macicy serbskiej* i literacka *Lužica*).

Właśnie doszedł nas pierwszy numer II rocznika *Lužicy*, którą wydaje w Budyśynie młody lużycki, patryota dr. fil. Ernest Muka, nauczyciel tamtejszego gimnazjum. Potrzeby swego narodu wszechstronnie rozbiegając i pomieszczając utwory o rzeczywistej wartości literackiej, zasługuje pismo to na poparcie i reszty słowian, tom bardziej, że sami lużycanie nie są w stanie utrzymać podobnego wydawnictwa. Pierwszy numer *Lužicy* zawiera oprócz kilku utworów poetycznych w górno i dolnoserbkiem narzeczu, tudzież artykułów, mniejszy już dla nas budzących interes, nowelę Sporosa pod tytułem *Wuménkar*, dwie rozprawki etnologiczne dra Pfula i ks. Hórnik, sprawozdanie z ruchu lużyckich towarzystw narodowych, liczne zapiski literackie, wreszcie pełen patryotyzmu list bawiącego obecnie w Norwegii dr. Sauerweina, ciekawy tem więcej, że korespondent, z pochodzenia Niemiec, tak całą przyłgnął duszą do tego opuszczonego narodu słowiańskiego, że — przygotuj się czytelniku na coś niezwykłego — że wyrzekł się narodowości niemieckiej i został — serbem!..

Ani przeczuwał może szekspirowski Hamlet, jaką powiedział prawdę, że dzieją się na niebie i ziemi takie rzeczy, o których się nie śniło filozofom — nawet niemieckim, dodajmy to od siebie!..

Gożąco polecamy jeszcze raz *Lužice* przyjaciółom serbskiego ludu, których oby znalazło się u nas jaknajwięcej! Nadmieniamy przytem, że prenumerata na to pismo, którą przesyłać należy pod adresem: Dr. Ernest Muka, Bautzen, Sachsen, wynosi na cały rok tylko 2 ruble.

Brak miejsca zniwala nas do poprzestania w pierwszym naszym przeglądzie na zanotowaniu dwóch tylko objawów piśmienniczego u pobratymców naszych ru-

chu, który coraz szybszem bijąc dziś tętnem, ożywia zamarłe nawet ludy wielkiej słowiańskiej rodziny. W następnych listach postaramy się zapoznać czytelnika z innymi znów pobratymcami.

Stefan Ramułt.

Z GALICYI.

Lwów, 10 stycznia.

Wybory do Rady miejskiej. — Walka stronnictw. — Powszechnie zaciętrzewienie. — Rozpamiętywania. — Stosunki galicyjskie. — Rządy klikki. — Zbankrutowana polityka. — Jej skutki. — Spodziewany rezultat wyborów sejmowych. — Niepożądany skład centralnego komitetu wyborczego. — Smutny horoskop.

Ani zbliżające się wybory przedstawicieli do sejmu krajowego, ani w danym razie wybory do Rady państwa — nie zdołałyby z pewnością do tego stopnia pochłoniąć uwagi lwowskiego społeczeństwa, jak obiór reprezentacyi miejskiej, do którego niebawem czynią się już od miesiąca przygotowania. Kto zwycięży: „Kolo polityczne“, czy też „Łączność i Zgoda.“ albo raczej kwestya zaciągnięcia kilkumilionowej pożyczki, za którą oświadcza się większość tutejszej inteligencji, reprezentowanej przez Kolo, a której przeciwną jest klasa rękodzielników i przedmieszczan, tworzących stronnictwo, drugą z powyższych nazw ochrzczone — pytanie to zaprzęta obecnie umysły nasze bardziej, niż nawet pogłoski wojenne, tak skwapliwie w *Nowej Reformie* i *Gaz. Kolońskiej* notowane. Powszechnie zaciętrzewienie doszło do takich rozmiarów, że dzienniki nasze, oszołomione widocznie krzyżującymi się ciągle hasłami wojujących ze sobą stronnictw miejskich, zawiadomiły czytelników swoich o śmierci Gambetty, bodaj czy nie po gorzebie już, że wstrzymały się chwilowo od stawiania wróżb politycznych i kreslenia nowych kart Europy. Ruch ten przedwyborczy, dodatnio w każdym razie świadczący o zajęciu się publicznymi sprawami kraju, przejawia się przecież czasami w tak dzikich albo śmiesznych kształtach, że sprawozdanie z niejednego zgromadzenia wyborców naszych kwalifikowałyby się raczej do humorystycznego pisma, niż do poważnego organu.

Tembardziej zaś nie będę zajmował uwagi czytelnika sprawami łwiego grodu, którego mam zaszczyt, acznie stałym, to przynajmniej czasowym być obywatelem, ile że nie uważam ich za tak dalece świat i Koronę polską obchodzące, abym poświęcać im tu miał więcej jeszcze miejsca. Tyle zresztą Galicya posiada innych zagadnień żywotnych, ważniejszych nieco od interesów jednej komuny, choćby lwowskiej, bo dotyczących całego kraju, że korespondent tutejszy pism zagranicznych w prawdziwym znajduje się *ambarras de richesse*, gdy przyjdzie mu zdawać sprawę z bieżącego życia naszej prowincyi. Sprawy polityczne pochłaniają zazwyczaj całą jego uwagę, bo choć nie wszyskie jeszcze warstwy tutejszego społeczeństwa dojrzały do życia publicznego, to jednak życie to wzrasta z dniem każdym i potężnieje, sięgając z wolna tam nawet, gdzie do niedawna było czemś niezrozumiałem i zgola nieprzystępnem. Cóż kiedy objaw ten, skądinąd pocieszający, nie posiada wcale warunków naturalnego rozwoju i wygląda chorobliwie, niby suchotnik, z całą gorliwością a bez nadziei dłuższego żywota nad podtrzymaniem i wzrostem mienia swego pracujący. Gdybyż choć wszyscy w tym tylko trudzili się kierunku! I ciemno i głodno w naszej krainie, ale o tyle jeszcze smutniej, że jeżeli dawniej przyczynę naszego położenia zwalaliśmy na obcych, to teraz winę niekorzystnych warunków,

w jakich żyjemy, przypisać musimy w znacznej części tylko samym sobie. Trudno tu oczywiście winić wszystkich; winni są bowiem ci jedynie, co politykę—technicznego używając terminu — „robią.“

Rozumie to dobrze społeczeństwo nasze i na każdym kroku wyraża zniechęcenie swoje do sposobu kierowania nawa krajową, której ster dzierży w swem ręku wpływowo a obecnie rządowe stronnictwo stańczyków. Zbankrutowana partya tej polityka następcza też prasie galicyjskiej (tylko nie *Czasow!*) ofbitego do smutnych rozpańiętwań materyału. Roztrząsania te i poddawanie krytyce działalności wszechwładnie panującego w Galicyi stronnictwa tem więcej są obecnie na porządku dziennym, ile że z okazji zbliżających się wyborów do sejmku co chwila odzywa się gdzieś chępliwly głos stańczyka, pod niebiosą wychwałający rzekome zasługi krakowskiej partya, która niby to miała wynieść zapoznawany dotychczas kraj na jedno z najzaszczytniejszych w rakuskiej monarchii stanowisk.

W kwestyi tej dałoby się wiele powiedzieć; aby jednak nie rozwałkowały zbytnio rzeczy, zaznaczymy tylko, że jest to przedewszystkiem zasługa wątpliwej wartości. Następnie zaś i to dodać należy, że jeżeli kto starał się o dobro Galicyi i położył dla niej rzetelne zasługi, to z pewnością nie stańczycy wyłącznie. Jeżeli bowiem Galicya cieszy się jakimkolwiek samorządem a nawet pewnymi (dla polaków w stosunku do rusinów) przywilejami, to nie sami stańczycy wystarli się o to, ale głównie zmarły namiestnik hr. Gołuchowski, który urząd swój przyjął tylko warunkowo, jako też ludzie, którzy stańczykami nie byli nigdy.

Stańczycy zaś niczego prawie nie domagali się u rządu i nie odważyli się nigdy na opozycję, bez względu na to, czy federaliści albo autonomiści dzierżyli władzę, czy też centraliści rej w naddunajskiej wiedli stolicy. W nieograniczonej ufności do pańskiego stołu w Wiedniu, z prawdziwie stoickim spokojem wyczekiwali oni zawsze rzucenia im kości, co mieli sobie za wielką już łaskę i za co odwdzięczali się posłusznem warowaniem u nóg ich właściciela.

To iście psie wpatrywanie się w misę swojego pana, serwilizm ten obrzydliwy sprawił, że Galicya do dzisiaj jeszcze ani marzyć może o takiej opiece rządu, jaką cieszą się inne kraje koronne, że najżywniejsze naszej prowincyi sprawy naprózno od początku parlamentarnego życia u nas wyczekują załatwienia. W Wiedniu bowiem wiedzą przeciw aż nadto dobrze, bo z doświadczenia, że delegacya nasza, w której rej wodzą stańczycy, „stoi i zawsze stać będzie wiernie“ przy każdym rządzie, jakimkolwiek by on był i jakiegokolwiek względem nas żywiły zamiary, i że zrujnowany nasz kraj jest jeszcze zawsze tym *Hinterlandem*, który, chociaż nie przypadły mu w udziale takie same, jak innym prowincjom, prawa i przywileje, to przeciw mimo to może i powinien ponosić takie same, co one, albo nawet jeszcze większe obowiązki i ciężary...

Takie są rezultaty polityki stańczyków, którym dobro Austrii zawsze więcej na sercu leży, niż pomysłność własnego kraju. „Deprawacya ducha publicznego — powiada jeden z naszych dzienników — ruina stosunków ekonomicznych kraju, administracya pozbawiona krajowej myśli, wychowanie publiczne, wymykające się całkowicie z pod kierownictwa i wpływu reprezentacyi kraju, serwilizm bezmyślny lub sobkowski — oto skutki tego panowania, boleśnie jasne dla wszystkich i nie wymagające długich komentarzy.“

Tego rodzaju głosy podnoszą się we wszystkich niezawisłych organach galicyjskich; czy jednak zdołają one złamać się przemożnej kliky — oto pytanie, na które

odpowiedzieć nam zdoła w części przynajmniej rezultat wyborów sejmowych, jeżeli reprezentacya kraju jest rzeczywiście wcielaniem zasad, wyznawanych przez większość obywateli. Co się nas tyczy, to nie ludzimy się już teraz wcale nadzieją pomysłnego ich wyniku; skład bowiem centralnego komitetu wyborczego, przez „Koło sejmowe“ zamianowanego, najmniejszej nie daje rękami zmiany stosunków na lepsze. Nadzieja, w jednym z poprzednich naszych listów wyrażona, że kraj wybierze sobie zapewne odpowiedniejszych, niż dotychczas, reprezentantów, okaże się podobno tem bardziej płonna, jeśli zważymy, jak wielkim jest wpływ centralnego komitetu na wybór kandydatów, ubiegających się o mandat poselski, zwłaszcza w okręgach wiejskich ruskiej części kraju, gdzie źle częstokroć pojęty interes narodowy nie pozwala na zerwanie solidarności.

Otóż znowu polityką rozpocząłem i nią zamykam list mój dzisiejszy, aby chyba natychmiast stwierdzić dowodnie, com powiedział wyżej o pisaniu korespondencyj ze Lwowa... Przynajmniej w następnym liście znajduję może więcej miejsca na poruszenie innych spraw, z polityką niemających już nic wspólnego.

Rewera.

Z Heidelberga.

Styczeń, 1883.

Nowa powódź. — Śmierć Gambetty. — Erazm z Amsterdamu i Faust żonaty. — Scheffel. — Jego „Trębacz z Säckingen.“ — Kółko „der Engere“ w Heidelbergu. — Treść „Trębacza.“ — Co się przyczyniło do powodzenia tego utworu. — Mauthner jako karykaturzysta. — Ochs'a imitacye muzyczne. — Projekt zbioropisma i waryacje na jeden temat.

Zdawało się, żeśmy już z powodzią skończyli. Piękny nasz Nekar oczyścił się z żółtawo-czerwonego zabarwienia, którem się zwykle po ulewach maści, nurty jego opadły do zwykłej miary i znowu „odbiły niebios błękity i brzegów zielenie.“ Aliści na boże narodzenie słonko przygasło, termometr w cieniu wskazywał 12 stopni Réaumura; śniegi na górach zaczęły tajać raptownie, popłynęły z nich niezliczone strumienie i rozpoczęło się nowe, daleko groźniejsze wód wezbranie. I Nekar, i „Vater“ Ren wystąpiły z brzegów, roznosząc straszne spustoszenie w nadbrzeżnych okolicach. Szczegóły tej klęski znane są z dzienników, więc ich powtarzać nie będę; Heidelberg ucierpiał stosunkowo mniej od miast i wiosek nadreńskich; jednakże ogólna cyfra strat i tutaj jest nie mała. Najgorszą ze wszystkiego jest obawa pojawienia się chorób miazmatycznych, bo w bardzo wielu domach woda dochodziła prawie piętra, a chociaż obecnie sama odpłynęła, lub pompami ją oddalono, fundamenta domów i piwnice tak są wilgotne, że zdrowiu mieszkańców zagraża istotne niebezpieczeństwo.

Śmierć Gambetty sprawiła na Niemcach tutejszych uspakajające wrażenie: zmora odwetu nie przestawała ich dręczyć; dzisiaj wyobrażają sobie, że po zejściu dyktatora nikt roli i idei jego nie podejmie. Obszelo się tu zresztą bez demonstracyi, bo że jakiś uzbrojony w czerwony otówek szwinista ponapisywał „hurra“ na plakatach, donoszących o zgonie wielkiego francuza, to raczej na ulicznikowstwo, niż na poważny objaw zakrawało.

Nie wesoło tedy zaczynamy rok nowy. Woda się wznosi, a kursa naszych pieniędzy opadają. Rozpaczam tedy od życzenia, aby stało się odwrotnie. Bo też smutno jest mieć wodę w piwnicy i dostawać za sto rubli tylko 196½ marek, jak nam tu obecnie płacą!

Przejdźmy do rzeczy weselszych. „Wiem, że się skompromituję, a jednak opowiedzieć muszę.“ — tak rozpoczyna nowelę pewien powieściopisarz czeski. Otóż taki frazes powiedzieć sobie musieli niedawno dwaj berlińczycy, z których jeden twierdził wobec sejmku, że sławny Erazm pochodził z Amsterdamu, a drugi, wobec członków akademii, że Faust dalekoby lepiej zrobił, gdyby się ożenił z Margaretą, dzieci bogobojnie wychowywał i wynalazł machinę elektryczną lub pompę powietrzną. Czyżby szanowny profesor Du Bois-Reymond chciał zamienić rolę z Faustem i wolałby sam uwieść sliczną Gretchen, zaprzędawszy dyabłu duszę, a Faustowi przyrodoznawstwo i filozofię ustąpić?

„Göthe und kein Ende,“ ten wykrzyk znakomitego filozofa i przyrodnika wywołał powszechnie oburzenie, ale mimo to stał się popularnym i teraz na wszystkie strony, gdy co dokuczy, powtarzają w Niemczech: ...und keine Ende!

Jabym powiedział: Scheffel und kein Ende! Wszakże to „Trębacz z Säckingen“ tego poety doczekał się w tych czasach setnego, wyraźnie setnego wydania. A jednak imię poety nie ma rozgłosu europejskiego; wątpię nawet czy wielu czytelnikom *Prawdy* jest znanem. Cóż więc jest w tym *Trębacz*, co w jego autorze tak pojętne, że dostępuje tak rzadkiego odznaczenia? Poznajmy bliżej tę osobliwość. Nasamprzód słówko o autorze.

Józef Scheffel, badenczyk, poświęcił się początkowo prawnictwu i poważnie nad niem na wszechnicach pracował; humanistykę także z miłością uprawiał i to późniejszym utworem jego poetycznym za mocną podstawę i okrasę służyło. Że duszę miał niespokojną, na miejscu nie umiał usiedzieć i całą młodość spędził na wędrówkach po ojeźźnie i Włoszech. Około r. 1850 poznano go jako nader dowcipnego i zdolnego poeę. Mając lat dwadzieścia kilka udał się do Włoch południowych; tam w r. 1852 ułożył pierwszy większy poemat, o którym właśnie mówiliśmy, że w końcu r. 1882 doczekał się wydania jubileuszowego. Posłuchajmy jak sam o tym pobyć włoskim mówi we wstępie:

„Co to za jasnowłose cudzoziemiec, który na dachu Don Pagana jak kot się przechadza wzdłuż i w poprzek?“ Tak zapytują sąsiedzi; a Don Pagano odpowiada: „To jakiś osobliwy dziwak, jakiegoś szczególnego powołania. Przybył z małym pakunkiem, mieszka sobie cicho i samotnie, wspina się na góry wysokie, błądzi wśród skał nadmorskich, a niedawno z pustelnikiem na zwaliskach willi Tyberyusza do brze podhulał. Co więcej robi? Wszak to Niemiec, a któż wie, co Niemcy robią? W pokoiku jego widziałem dużo papierów; zapisane były nieekonomicznie, z wielkimi marginesami; zdaje mi się, że ma bzik i pisze wiersze.“

Nie przeszkadzało to jednak Schefflowi być urzędnikiem sądowym a później bibliotekarzem prywatnym i członkiem bardzo zajmującego stowarzyszenia w Heidelbergu, gdzie kilka lat przemieszkał. Stowarzyszenie to nazywało się „der Engere,“ niby „Kółko;“ zawiązało się w r. 1842; duszą jego przez długie lata był Ludwik Häusser, profesor historii powszechnej, którego znałem w latach 1853 i 1859. Była to osobistość niepospolita. Specyalnością jego naukową były czasy po Fryderyku Wielkim; o nich napisał spore dzieło, które podziśdzeń cieszy się niemałą wziętością i dopełnia poniekąd znaną pracę o epoce rewolucyjnej Sybla. Prócz tego wykladał dzieje rzymskie i początek nowożytnych. Wymowę miał sliczną, wiele zapalał i gruntowną naukę. Politycznie należał do postępowej naówczas partya gotajskiej, czyli wielko - niemieckiej. Wiele w niej i w nim było szwinizmu, ale złagodzonego usiłowaniem zdobycia się na sprawiedliwość dla nie-niemców i szcze-

rym liberalizmem, dążącym do konstytucji na wzór angielskiej. W porównaniu z dzisiejszym wstrętnym szowinizmem à la Treitschke, wspierającym się na nietolerancji i serwilizmie, Häusser i cała plejada, wśród której świecił, wydają się teraz wcale sympatycznym zastępem.

Otóż kółko owo zgromadzało się cośroda w hotelu Holenderskim i łącząc zabawę z uczoną pogawędką, utrwalilo się w pamięci heidelberczyków. Kilku profesorów uniwersytetu, z których dwóch jeszcze żyje, Scheffel, księgarz Meder, typowa postać tutejsza, dzisiaj jeszcze czynnie się krzątający kolo swych książek i sztychów, proboszcz z odległego o pół mili Ziegelhause-nu, kilku artystów i prawników, popijając *maitrank*, umiejętną ręką Häussera przyrządzony (Scheffel uniesmiertelnil ten jego talent ślicznym wierszem), płodzili w wieczorki środowe tysiączne żarty, ucin-ki, wierszyki i krotochwile, które obiegały miasto i okolicę, nadając zarazem pewien ton polityczny i społeczny prądom ówczesnym. Rok 1848 na długo zmałił i przerwał tę przyjacielską zabawę; odżyła ona jednak później i trwała jeszcze z piętnaście lat, aż do śmierci Häussera. Scheffel opu-szczał często Heidelberg, sercem jednak bywał na posiedzeniach kółka, pisywał doń listy, jako „korespondent zamiejscowy.“ Niektóre z nich są drukowane: odznaczają się niepospolitym dowcipem i werwą. Ogłosił on prócz tego kilka zbiorów poe-zyi; z tych „Gaudeamus,“ „Lieder aus dem Engeren (mowa o kółku heidelberskim) und Weiteren,“ zbiorok przeslicznych pio-snek na wzór Béranger'a — ma ogromną popularność i ze 40 wydań; a poemat *Ekk-chard*, na tle X wieku osnuty, przeszło 59 razy był już drukowany. Od r. 1872 zamieszkał poeta nad jeziorem Kostnickiem, w uroczystej okolicy, niedaleko Säckingen, gdzie pobliskie jezioro, na cześć jego, *Scheffelsee* nazwano. Rząd badeński w 50 letnią rocznicę urodzin nadał mu szlache-two (więc może i owo jezioro trzeba na-zywać von Scheffelsee?).

Niech mi wolno będzie podać treść *Tre-bacza*, aby nieznający go czytelnik choć słabe miał wyobrażenie o poemacie, który niemożem tak do smaku przypaść.

Rzecz dzieje się pod koniec XVII wieku, w lat trzydzieści po wojnie trzydzie-stoletniej, miejscem akcyi — zamek Säck-kingen, leżący tuż pod miasteczkiem tegoż nazwiska, dziś jeszcze istniejący. Młody Werner uczy się prawa na wszechnicy heidelberskiej, ale jednocześnie uprawia muzykę, gra ślicznie na trąbce, składa wiersze i odważa się urządzać serenady dla piękne pfalcgrafiny, pod oknem zam-ku. Za to sromotnie z uniwersytetu wy-pędzony, wsiada na wiernego konika i przewiosiwszy ulubioną trąbkę przez plecy, puszcza się w świat na chybił trafił. W południowych stokach Szwarewaldu natrafia na bardzo zacnego proboszcza, który go serdecznie przyjmuje i zabiera z sobą na uroczystość św. Frydolina, apo-stoła Niemiec, patrona sąsiedniego mia-steczka. Na fście, w pośród panien niośa-cych ołtarzyk, spostrzega Werner śliczną, jasnowłosą dziewczę; ucuwa miłość ku niej i wieczorem wygrywa serenadę pod oknem sąsiedniego domku, bo Dulcynea jego jest córka pana barona, właściciela zamczyska, starego żołnierza z wojen szwedzkich. Szczęśliwy los tak układa wy-padki, że Werner dostaje się do zamku, jako kierownik kapeli i sekretarz pana ba-rona, który „prosto rąbie, ale krzywo pi-sze,“ a muzykę namiętnie lubi. Powoli skłania się ku młodzieńcowi serduszek panny Małgorzaty; odbywają razem wy-cieczki i majówki, urządzają niespodzianki dla barona; a gdy powstał bunt chłopski w sąsiedztwie, Werner odznacza się jako obrońca zamku i odnosi ciężką ranę; pan-na coraz jawniej go kocha i nareszcie, gdy wraca do zdrowia, wyznaje mu swą mi-

łość. Ale stary wojak, szlachcic z kości i zasad, ani słyszeć chce o zięciu miesz-czaninie i muzykancie. Więc młodzieniec opuszcza zamek z postanowieniem albo ni-gdy nie wrócić, albo wrócić godnym córy szlacheckiej. Los go zanosi aż do Rzymu; tam, dzięki swym talentom muzycznym, zostaje kierownikiem kapeli papieskiej i tak kilka lat upływa. Tymczasem kaszte-lanka nie przestaje go kochać, nawet po trosze usycha z miłości. Przyjaciółka starego barona, przelożona sąsiednie-go klasztoru, wybiera się do Rzy-mu w sprawie dóbr klasztornych i zachęca ojca, aby pozwolił córce przejechać się z nią do Rzymu dla rozrywki i zdrowia; stary się zgadza. Na św. Piotra w Rzymie obie niemki są w przesławnej bazylice; młodsza podnosi oczy na chór śpiewaków i poznaje ukochanego Wernera, przewo-dniczącego kapeli; gdy później przechodzi on kolo niej, mdleje ze wzruszenia. Widzą to i papież i wszyscy dostojnicy kościoła, dowiadują się o zawiązanej nad Renem sprawie serdecznej i o przeszkodach mał-żeństwa. Papież Innocenty XI, który bar-dzo lubi swojego kapelmistrza, nadaje mu tytuł szlachecki i zmienia nazwisko z „Kirchhofs“ na „marchese Camposanto,“ dodając, że czyni to dla starego barona, bo

Wen die Kunst geadelt, dem ist
Solcher Schmuck unnützes Beiwerk,

czyli: kogo sztuka uszlachciła, temu ta ozdoba niepotrzebnym jest dodatkiem. Nie przeczuwał zapewne pisać, to Scheffel, że w lat dwadzieścia sam szlachectwem ba-deńskim zaszczycony zostanie... Papież błogosławi czułą parę i na tem poemat się kończy.

Widać z tego streszczenia, jak dalece fabuła utworu poety niemieckiego jest prosta i nienowa. Poznali się, pokochali, musieli się rozstać i pobrali się. Tysiące wierszowanych i niewierszowanych powie-ści snuje się na ten odwieczny temat. Ina-czej być też nie może, skoro osnowa wzię-ta jest nie z podań mitologicznych lub dziejowych—te tylko bowiem dają wątek odrazu zabarwiony; wszystkie inne, nie wyłączając tematów społecznych, dydak-tycznych, politycznych itp. są bezbarwne. Czegoż więc potrzeba, aby je ożywić i ucie-leśnić? Dlaczego tyle pięknych utworów istnieje, pomimo ubóstwa fabuły? Bo poeci umieją ustroić je w kunsztowne szczegóły, obrobić i wpleść śliczne epizody, wzięte już to z wymarzonego świata baśni ludowych, już to z dziejów prawdziwych. Tak też jest i z idyllą Sheffla: pomimo jałowy i oklep-ny przedmiot, w *Trebaczu* z Säckingen dał on miłą, wytworną i bardzo zajmującą sielanekę; osiągnął to zaś, wtrącając w nią śliczne perłki: to stary Ren opowiada Wernerowi o tem, co na brzegach widział, jak się słowiki i nie słowiki w krzakach nadrzeźnych pieściły, jak dwa raki zawzię-cie się na piasku borykały; to znowu, z po-wodu festu św. Frydolina, przynosi nas w za-mierzele dzieje nawracania pogańskich germanów; to prowadzi bohatera swojego do pieczar duchów górskich i tam zazna-jamia nas z cudowną, fantastyczną posta-cią skamieniałego człowieka, któremu z braku miłości i prawdy na świecie serce zamarło, pierś zlodowaciała; to znowu ka-że pisać rozdzielonym kochankom cudne madrygały; to maluje pysznymi szkicami Rzym, papieża i kardynałów. A pod ulotną osłoną poezyi przebija się u niego wszę-dzie wyborna znajomość historyi i ducha czasu, na którego tle opowieść maluje. Naogół jest w nim coś, co bardzo przypo-mina naszego Kondratowicza: i tło sie-demnastego wieku, tak ulubione przez Sy-rokomlę, i to starcie dumy szlacheckiej z ideą zasługi osobistej i lekka a rzewna dykcyja. Tylko Scheffel jest wytworniej-szym, ma szerszy i swobodniejszy pogląd i zarywa często na ton *Don Zuana* Byro-

nowskiego, lub Słowackiego w *Benio-wskim*.

Rozwiodłem się nad poematem, który na 300 stronicach niewielkiego formatu tak potrafił zmienną fortunę uczynić, że aż sto razy doń się uśmiechnęła *). Pra-gnąłem rozwiązać zagadkę: co mu dało niezwykle powodzenie. Jako odpowiedź znalazła się odwieczna recepta poetyczna: jasność, prostota, rzewność, żywioł poda-niowy, gruntowna podstawa naukowa, świetne obrobienie lirycznych a różnorod-nych epizodów, prawda a umiejętne obra-zowanie natury ludzkiej i otaczającej czło-wieka.

Jeżeli już mowa o powodzeniu na polu literackiem, to wspomnijmy i o produk-cjach Mauthnera, które podobnież w lic-znych wydaniach delectują publiczność nie-miecką. Są to udatne i bardzo dowcipne parodie znanych powieściopisarzy, poetów i innych autorów **), dedykowane im sa-mym: *Meinen lieben Originalen, in herzlichster Verehrung*. Figurują pomiędzy tymi „ory-ginalami:“ Auerbach, Ebers, Freytag, filo-zof Hartmann, Spielhagen, muzyk Wa-gner, Heyse, Marlitt, Scherr itd. a także i dopiero co wspomniany Scheffel ze swoim *Trebaczem*. Występują też wybornie spa-rodysty głośni przyjaciele nasi—Franzosi i Sacher-Masoch.

„Szkice te powstały skutkiem zbytecz-nego może zagłębienia się w arcydzieła na-szych wielkich wieszczów — powiada w przedmowie autor. Odwieczna to chęć, nagabująca i dorosłych, dowiedzieć się, jak to czynią dzieci z zabawkami, co tam jest we środku. Z jakimże zapalem autor czytał *Przodków* Freytaga. Lecz im dalej w czytaniu postępowałem, tem wy-raźniej wyzierał z pomiędzy wierszy jakiś chochlik. Z początku przykuwał on mię do najpiękniejszych ustępów i poważnie tłumaczył mi sekrety i sekreciki technicz-ne, za pomocą których mistrz mnie to wzruszał, to rozweselał; potem, z obłudnem uwielbieniem, zaprowadził mnie do pracow-ni wieszczka, kazał mi przypatrywać się jego warsztatowi i próbować narzędzi, a gdy uległem swawolnym namowom dzieciaka, abym usiadł na fotelu i ujął szanowne pióro, płodzące autografy, wte-dy chochlik umieścił się na kałamarzu, wykrzywił się do mnie i przedrwiwał go-spodarza.“

Można myśleć sobie, co się chce, o tego rodzaju karykaturach literackich. Co do mnie, nie należę do purytanów i śmieję się, gdy widzę lub czytam coś śmiesznego, nie pytając: co na to powiedzą świętoszkowie estetyczni i inni. Owszem, zdaje mi się, że takie zogniskowanie i ośmieszenie słab-szych stron, chociażby najzdolniejszych poetów, przyczynia się poniekąd do scha-rakteryzowania ich talentu i broni od fetysyzmu, który nawet w krytyce poe-tycznej ma swych wyznawców. Czyż się nie śmiał, łaskawy czytelniku, gdyś przed kilku laty czytał wyborną trawestacyę *Nędzarzy* Wiktora Hugo przez Bret-Harta? A czy przez to stracił coś w naszych oczach znakomity poeta fran-cuski?

Jeszcze jedno świetne powodzenie po-dobnego rodzaju muszę tu zanotować. Młodzieńki student tutejszy, niejaki Ochs, obdarzony wielkimi zdolnościami muzycznymi, urządził sobie zart następny: wziął piosnkę ludową nie-miecką, znaną tu wszyskim, od dziecka do najstarszego (*S'ist ein Vöglein geflogen*) i ułożył z niej sztuczki, nasladując styl i manierę znakomych kompozytorów, od Haydna aż do Wagnera i Brahmsa. Trafili

*) Katalog styczniowy donosi o 101 już wydaniu u Bonza w Sztutgarcie.

**) *Nach berühmten Mustern*. Parodistische Studien. Pierwsza książeczka w r. 1878 doczekała się 10 wy-dania, druga, w 1880, czwartego.

w indywidualność każdego z nich tak znakomicie, że pozyskał od razu rozgłos miejscowy: rozrywano sobie młodego imitatora. Tutejszy nakładca muzyczny Pfeiffer uprosił go o spisanie i podarowanie mu tej produkeyi, wydrukował ją i zarobił do dziesięciu tysięcy marek, bo w krótkim czasie rozkupiono dużo wydań, a zapewne i dalej nakład pójdzie mu pomyślnie. Jest tam i nasz Chopin, zręcznie pochwycony: piosnka przekształca się u niego w melancholiczny walc, z energiczną drugą częścią, ala mazurka. Bach i Beethoven, Wagner i Brahms zgrabnie też naśladowani. Cały zbiorek słucha się przyjemnie i stanowi niby kilkanaście waryacji na jeden temat; ale każda waryacja, to inna osobistość, inny duch, a wszystkie od razu mówią, kogo malują.

Przychodzi mi na myśl, iż w razie gdyby wypadło uczcić jakiego jubilata, albo wesprzeć dotkniętych nieszczęściem bliźnich (*quod deus avertat!*) i zaniosło się na jakieś album, Ziarno. Paris-Murcie lub coś podobnego, to możeby nie od rzeczy było następnego projektu spróbować. Ogłosić jakiś wątek (z mitologii, legend lub historii), ale taki, któryby się nadawał do obrobienia na wszystkie sposoby, bez skrupowania piszącego względami czasu i miejsca (chyba tylko z ograniczeniem rozciągłości utworu np. jednym arkuszem druku). Wzwać poetów naszych i powieściopisarzy, aby raczyli, wierszem lub prozą, w jakiej zechcą postaci, osnuć na tym wątku niedługi poemat lub powiastkę, przenosząc dany temat w jakąby zapragnęli epokę, okolicę, symbolizując go lub obrazując, jak któremuś się podobało, skracając lub rozciągając *ad libitum* (zawsze jednak trzymając się ostatecznego zakresu np. arkuszowego). Potem wydrukować wszystko razem, podając na czele wątek zadany. Otrzymałoby się tą drogą, mniemam, bardzo charakterystyczną, bardzo zajmującą i poczytną wiazankę, która nigdyby swej wartości nie straciła i służyła zawsze jako ważna wskazówka do scharakteryzowania danej chwili parnasu naszego. Oto świeżo z wielką przyjemnością przeczytałem Varnhagena *Bajkę indyjską w jej wędrownie przez literatury azjatyckie i europejskie**). Autor, wzięwszy za punkt wyjścia wątek podaniowy, że dusza wychodzi czasami z ciała, a tymczasem duch innego człowieka w nie wstępuje i chodzi po świecie niby tamten—poszukuje w dawnych i nowszych piśmiennictwach utworów na tem tle osnutych i znajduje ich bardzo wiele: od baśni sanskryckich, aż do Longfellowa (balada *Król Robert sycylijski***)) i do niewiadomego z nazwiska dramaturga duńskiego, którego utworem rozkoszuje się dziś Kopenhaga. Bardzo pouczające to studjum: widać w niem, jak każdy naród i każdy wiek inaczej dany wątek rozstrzuwa, podkładając go pod coraz nowe potrzeby, ideały, pojęcia i warunki.

Jan Karłowicz.

Malarstwo polskie.

I ostatniego z ludzi był to krzyk ostatni.
Długo gdy powódź rosła dzierzył w obu dłoniach
I nad falą pogonią wznosił drogie ciało,
A gdy nareszcie siłę utracił i życie —
Wtenczas niebo i morze — były całym światem,
Spełniło się.. i na chmurach zajaśniała tęcza!

Ten wspaniały moment ze *Snu potopu* Alfreda de Vigny natchnął bardzo szczę-

śliwie p. Merwarta, którego talent niespodzianą zabłysnął twórczością. Stojąc w Salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przed jego *Sarą*, czujesz odrazu, że artysta tebał w to dzieło siłę poezyi, która podbija i zniewala. Dziwnie piękną jest młodzieńcza postać pasterza, który na cyplu skały w krzepkich dłoniach podnosi miękkie ciało kochanki. Gdy nadpłylnie nowa fala powodzi, runie i on w odmetry, ale broni się do ostatka. Dokoła pienia się ciężkie, ołowiane bałwany morza, groźne i mściwe, jak gniew boży, który je wyparł z łożyska i gnał na ziemię, na zaturę ludzi. Szczyt skały ledwie wynurza się nad grzbietem fal, które rozbryzgują się o twarde jej krawędzie. Z poza opony ołowianych chmur błyska rąbek tęczy a strugi światła płyną na dół, ozlaczając bladą postać omdlałej kobiety. Scena to bardzo pięknie pojęta i uplastyczniona. W układzie pełnym wyrazistości i harmonii niema ani cienia przesady, w którą wpaść można było bardzo łatwo. Postać męska, namalowana energicznie i skończenie, szczególnie udało się artysty. Mniej piękną jest kobieta, zbyt biała i miękka, jak na przedpotopową mieszkankę ziemi, która nie mogła żyć w pałacach, aby mieć taką delikatną skórę. Można by zresztą w całości wytknąć pewne drobne wady rysunku obu figur, możnaby więcej żądać prawdy w niektórych odcieniach morskiej fali, możnaby zarzucić pewną dekoracyjność efektów oświetlenia, ale te drobne ujemności giną wobec skojarzenia poetycznej malowniczości i ekspresyi, jakie cechują to dzieło niezwykle piękne, wyróżniające się nastrojem i artyzmem od całego szeregu pospolitych, realistycznych bawideł.

Że nie zawsze w obrazie tytuł odpowiada treści, najlepszym tego dowodem *Dramat w seraju* p. Szyndlera, który namalował prześlicznie obnażoną postać dziewczęcia. Zdaje się krwawić na płótnie pulsować to miękkie, białe, młodzieńcze ciało, trochę tylko okryte przejrzystą gazą jedwabną. P. Szyndler rozwinął tu niezwykły powab i miękkość karnacyi; nie wiadomo jednak, dla czego tę wdzięczną postać rzucił na tło tak ponure... W głębi widzimy na sofie groźnie rozjuszonego maura, a obok niego hebanowy, nagi rzeźniczek trzyma w ręku miecz wysunięty z pochwy. Widocznie młoda odaliska dopuściła się jakiegoś przekroczenia, za które grozi jej krwawa pomsta, bo tyran haremowy gniewny jest i dziki, jak zwierzę. Obie te jednak postacie, jakkolwiek z talentem rzucone na płótno, leżą w ciemnym tle, na którym wydatnieją głównie prześliczne kształty dziewczęcia, stojącego spokojnie pod uraganem gniewu swego pana. Prawda, że widzimy odwrotną stronę figury, ale ani ruch jej, ani układ nie zdradza cienia nawet przestachu. Z założonemi rękami dziewczę haremowe stoi tak spokojnie, jakby nad brzegiem cystermy patrzyła na plusk fontanny pałacowej a nie w oblicze groźnego tyrana, który jednym skinieniem stracić może tę śliczną główkę z miękkich, tuczonych ramion. Zachwycamy się jednak ciałem tej nadobnej odaliski, gdyż artysta uposażył ją we wdzięki oddane tak pięknie, że niejeden pierwszorzędnny mistrz mógłby mu pozazdrościć.

Na olbrzymi przedmiot porwał się pan Alchimowicz, malując *Karlińskiego* w chwili, gdy ten przykłada lont do dział, którego pocisk ma ugodzić jego syna, poświęconego na ofiarę dla kraju. Trzeba być mistrzem olbrzymiej ręki, aby sprostać potędze tej bohaterkiej sytuacji, aby godnie odtworzyć wielkość tej ofiary z najdroższych uczuć, składanych na ołtarzu najsłabszej miłości. O wielkość tego tematu rozbijały się niepospolite talenta poetyczne. Dla malarza przedstawia on olbrzymią trudność w oddaniu duchowego nastroju tak tragicznej chwili. Dążąc do wzniosłości, łatwo tu wpaść w przesadę,

w fałszywy patos, w styl, który nie leży w duchu dzisiejszego prądu sztuki, z drugiej zaś strony bez odpowiedniego nastroju obraz wyjdzie zimno i martwo, chociażby nawet posiadał wybitne zalety malarskie. Patrząc na płótno p. Alchimowicza, odrazu zostajemy rozczarowani. Karliński przykłada lont do działu z flegmatycznym spokojem; po za basztami twierdzy snują się zdaleka rakuskie wojska, a żołdak, trzymający w ręku dziecię bohatera, czerni się gdzieś w oddali, zaledwie widzialny. Matka tylko, kłęcząca u nóg komendanta w błagalnej postawie, wyraża boleść odpowiednią strasznej tej chwili. Pomimo jednak rażącego braku odczucia przedmiotu, obraz ten jest sumą ślicznych szczegółów. Zbroja i ubranie wodza, suknia jego żony, daleki mur forteczny, armaty i lawety — wszystko to artysta namalował pięknie, z doskonałym wykonaniem szczegółów, nadając całości ton piękny i harmonijny.

Chaotyczną mieszaniną, ciał i jaskrawych barw jest obraz Moniuszki *Napad krzyżaków na klasztor*, będący ilustracją sceny opisaną przez Długosza. Artysta siłił się na oddanie rozszalałej orgii rabunku, ale wpadł w krzykliwość i niesmaczną przesadę. Pewne jednak szczegóły świadczą o zdolnościach, które warto wzmocnić przez sumienne studya a nie marnować na krzykliwą brawurę.

Z pomiędzy prac konkursowych słusznie wynagrodzonym został *zofjowy* obraz p. A. Gierymskiego *W altanie*, przedstawiający towarzystwo dam i mężczyzn, którzy po obiedzie raczą się winem i kawą. Wśród festonów zieleni spływają tu fale słonecznego światła. Gorąca atmosfera lata bije rozkosznie z obrazu pełnego siły w kolorycie, który jednak na pewną odległość dopiero zlewa się w harmonię optyczną.

Na sąsiedztwie z tem prawdziwie słonecznym dziełem traci nieco miły zresztą obrazek Owidzkiego *W parku*, który jednak ma dużo powietrza i harmonii w tonie ogólnym i zaleca się zgrabnym rysunkiem kobiety, spacerującej w ubraniu z czasów pierwszego cesarstwa.

Nagrodzony obrazek p. Moleckiego *Wnętrze pracowni malarza*, pomimo zwykłej w kolorycie tego artysty przewagi kasztanowatej barwy, jest namalowany przyjemnie i elegancko.

Że w małych nawet ramach, w zwykłym napozór temacie można zawrzeć dużo głębokiego uczucia, dowodem obrazki p. Witkiewicza *Pod lasem* i Rynkiewicza *Opuszczony*. Na pierwszym widzimy jeźdźca, który razem z koniem padł zapewne przed chwilą ugodzony śmiertelnym strzałem. W głębi, wśród drzew bieleją dymy; tam wre jeszcze walka. Od pierwszego rzutu oka poznasz, że ten koń i jeździec runęli na ziemię w biegu, nagle porażeni ciosem. Na obrazie p. Rynkiewicza prawdziwą liłość budzi ten biedny, opuszczony koń z czaprakiem, stojący wśród roztopy i błota. Stracił gdzieś pana, nie może podążyć za maszerującym oddziałem, więc opuszcza głowę, a nad nim krąży wronie stada, wietrząc łup dla siebie. Mgła i smuga deszczu dopełniają wrażenia smutku, które artysta bardzo szczęśliwie osiągnął.

Na wystawie Krywulta budzą powszechną uwagę dwa wielkie płótna Makarta *Abundantia*, uosabiające bogactwo ziemi i morza. Są to wielkie, dekoracyjne roboty, obliczone na odległą, perspektywę, dla tego też zbliżka nie robią odpowiedniego efektu. Treścią ich jest symbolika; właściwie jednak mówiąc, artyście nie chodziło o jakąkolwiek wyrazistość kompozycji, tylko o nagromadzenie okazałych, nagich kobiet, tłustych dzieci i mnóstwo akcesoryów ciężkich i świetnych. Jestto rzeczywiście wystawa materyjalnego przepychu, poezya użycia i sytości, płótno, przeznaczone na to, aby zdołało ściany sal bankierskich albo książęcych, aby paśli

*) *Ein indisches Märchen auf seiner Wanderung durch die asiatischen und europäischen Literaturen.* Berlin, 1882, str. 122 w 8ce,

**) *Den forvandlede konge* (król przemieniony), dramat w 3 aktach, 1876.

DO ZAŁOTNEJ.

niem oczy rozkoszujący się na miękkich sofach smakosze po wytwornym obiedzie. Piękniejszym jest niewątpliwie w układzie i kolorze obraz, przedstawiający bogactwo morza, na którym bieleje parę ciał kobiecych, miękkich, pełnych, kokietujących powabem świetnej skóry, pod którą nie czujemy mięśni, tylko jakąś pulchną, cielistą masę. Wspaniałą jest figura główna, karmiąca tłustego malca, ubrana w przepyszny kostium aksamitny. Nie można tego powiedzieć o podobnej figurze „bogactwa ziemi,“ której twarz jakąś dzika, napół obłąkana, raz ciemno-ziemistym kolorem. Zresztą obrazy oparte są na kolorystycznym efekcie płaszczyzn szerokich, tonów świetnych i przezroczystych. Artysta nie chodziło ani o wymodelowanie ciał, ani o rysunek, ale o grę zewnętrznej harmonii przepychu barw. Dlatego też z pomiędzy ornamentacyjnych splotów ukazał skrawki złotego tła, dlatego wreszcie nie troszczył się o jasne upostaciowanie alegoryi, ale dbał o nagromadzenie okazałych kształtów. W malowaniu znać tu dekoracyjność szkoły weneckiej, połączonej z Rubensowską maszywnością, chociaż, rozumie się, z tych plafonowych robót nie można wyrobić sobie jasnego pojęcia o istocie talentu wiedeńskiego mistrza.

Znajdująca się w Salonie Ungra *Leda* tegoż artysty jest widocznie pospieszną robotą, wykonaną w chwili jakiegoś przestanku. Pieszczoły mitologicznej piękności z boskim łabędziem na zielonej murawie nie mają tu wielkiego powabu. Kształty *Ledy* dość nadobne, niektóre szczegóły malują dobrze stan zmysłowego upojenia, ale ciało gliniaste, malowane ogólnikowo, nie jest zbyt ponętne. W porównaniu z *Ledami* innych mistrzów ten obrazek Makarta jest pospiesznie rzuconą blachostką.

W Salonie Krywulta godnem zaznaczenia jest także *Studyum* p. Aksentowicza jędrne, śmiałe i plastyczne, oraz akwarela *Fałata Popielec* pełna charakteru i malowana z wielką siłą. W tym niewdzięcznym rodzaju młody artysta od pewnego czasu tworzy obrazki typowe i wykonane świetnie. W Anglii amatorowie chętnie by jego prace nabywali.

M. K.

TWOJE SKARBY.

W twych szafirowych oczach nieba czary.
W ramieniu lic twych młodych świeżość
[raju,
W boskim uśmiechu twoim słonko maju,
W czarnych hebanu splotach wdzięk bez
[miary.
Marmurom greckim wzięłaś kształt ra-
[mienia
Od alabastrów piersi śnieżnej białość —
Palmy ci wiotkość dały i wspaniałość
W głosie twym słyhać lutni boskie
[drgnienia.

* * *

W oczkach twych lzy nie ujrzy nędzaludzi,
Rumieniec twarz twą krasi bez powodu.
W twojem serduszku małym bryłka lodu,
Myśli w uroczej główce nie nie budzi.
Ramion twych uścisk jeden śmierć zwy-
[cięża,
Głosik—ładownych złotem skrzyń wrze-
[ciadze.
W piersi dwie tylko wiecznie płoną żądze:
Jedna uciechy szuka, druga — meża...

Wcześniej cię, biedna, uczono za młodu
Kłamać przed sobą i światem;
Wątlą lilijkę swojskiego ogrodu
Sztucznym już chciało mieć kwiatem.
Włoski twe jasne, złociste, swawolne
Modną związano przepaską;
Dano ci perfum za leśne, za polne
Kwiaty — i zwano to łaską...
Pierwszą gdyś brała drzącemi rączętą
Białą sukienkę balową —
Jeden wskazano ci wielki i święty
Cel — zostać balu królową.
Wabić uśmiechem, gdy płakać się chciało
I własną poić się raną;
Zimną — gdy serce z radości pękało,
Spokojną — być ci kazano.
Wiedzy skarbnicę otwarto przed tobą
Na mgnienie oka — na chwilę;
Ona ci miała być tylko ozdoba —
Kruczą — jak blaski motyle.
Więc dzisiaj jeszcze tyś obca, daleka
Sferom, gdzie myśli błękity,
Jeszcze się miano nie wiąże człowieka
Z twojem imieniem kobiety.

Maryan Bohusz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

M. Pape-Carpantier. Powiastki i nauczki dla dzieci, według 12 francuskiego wydania opracowała i do użytku dzieci polskich zastosowała E. H. Warszawa, Lesmani Świszczowski, 1883.

Opowiadanie to jasne, zastosowane do pojęć umysłów młodocianych, napisane językiem prostym. Autorka szczęśliwie uniknęła zbytznego sentymentalizmu i domieszek pierwiastków wyznaniowych, a raczej bigoteryjnych, stanowiących ujemną stronę skądinąd udatnych nawet prac dla dzieci. Od najelementarniejszych reguł moralnych, P. Carpentier przechodzi stopniowo do popularnych wiadomości z nauk przyrodzonych, z pola przemysłu, urządzeń społecznych itp., które wyklada czytelnikom nie w formie suchej i nudnej, lecz zręcznie wplecione w tok powieści. Szczególniej zajmujące i nauczające są powiastki: zwierzyńiec, kura i kurczęta, kartofle, gasienice, konopie i do czego są psy pożyteczne.

Strażak. Rocznik na r. 1883 (rok II) staraniem J. W. K., Piotrków.

Rocznik ten z dewizą „Bogu na chwałę (!), ludziom na pożytek“ wedle słów przedmowy pragnie być kroniką zdolną w rzeczywistości światle przedstawić działalność wielotysięcznego zastępu, stanowiącego armię ochotniczych stowarzyszeń ogniowych. Z zadania tego redakcja wywiązała się szczęśliwie. Znajdujemy tu, oprócz części kalendarzowej i ogłoszeń, dział urzędowy, projekt instrukcji dla straży ochotniczych wraz z regulaminem, wykaz straży istniejących (w 63 miejscowościach w kraju) i projektowanych (w 9), sprawozdania pojedynczych stowarzyszeń i listy imienne członków, dane statystyczne, życiorys Roberta Puscha, założyciela pierwszej w kraju straży ogniowej ochotniczej w Kaliszu w r. 1864, wiadomość o wystawie dzieł sztuki odbytej w r. 1881 w Piotrkowie z przeznaczeniem połowy dochodu na rzecz tamtejszej straży ochotniczej, sprawozdanie z 10-lecia teatru amatorskiego w Ostrołęce, o bazarach w miasteczkach i osadach, kilka słów rzemieślnika do swych współpracowników, o orkiestrach strażackich i rozmaitości.

Język artykułów „Rocznika“ nie zawsze odznacza się poprawnością, Tak np.: czy-

tamy „nieszcześcia pożarem spowodowane.“ (str. 213), itp. Korekta wogóle zaniedbana.

K. Promyk. Gość. Kalendarz na rok 1883. Warszawa, Konrad Prószyński. (Rok III).

I w tym roku Promyk miły a pożyteczny przyniósł podarek ludowi naszemu. W *Gościu* swoim, obok części kalendarzowej i objaśnień znaczenia świąt i uroczystości, daje treściwe i przystępne wiadomości z nauk przyrodzonych, wspomnienia o urodzajach w roku ubiegłym i o wypadkach „z popłochu ludzi“ (katastrofa w Ringtheater, w Praszynszu i św.-krzyska), rzecz o uchwałach gminnych i gromadzkich, o gospodach, macierzy, pszczelnictwie i wystawach zwierząt, wreszcie kilka życiorysów (Miarka, ks. Wicewicz, Szulc, Bodzoch, Łukasiewicz, Korytyński), oraz bardzo udatnie skreślona powiastka.

Ad. J. Cohn.

LIBERUM VETO.

Liberum veto p. Leona Gdackiego.

Wprowadźcie mózgu pana Leona Gdackiego nikt po śmierci ważyć nie będzie, proszę jednak nie sądzić, że mój znajomy zdolny tylko do komponowania chińskich napisów na torebkach herbaty. Wiadomo mi bowiem, że dotąd czyta lepsze rzeczy, niż pisze, agdy niedawno w wędłarni zawinięto mu salceson dla mopsa projektem *Słowa*, zauważył złośliwie:

— To musi być bezbożne pismo, bo „imię Boga“ drukuje mniejszemi czcionkami, niż imię redaktora.

Obecnie, jako generalny dostarczyciel chińskich etykiet kupcom, sprowadzającym herbatę prosto z Pekinu, posiada on: czterdzieści lat i dwie namiętności: kocha gwałtownie wszystkie kobiety i nienawidzi każdej rewolucji. Ponieważ pierwsza z tych namiętności mniej nadaje się do publicznych wyjaśnień, zaznaczę więc tylko, że gdy p. Gdacki, który dochował się w kawalerstwie, spostrzeże nie najbrzydszą z cór Ewy, tak wesolo na jej cześć wietrzy swe zęby, tak je, cmokając, trzepie językiem, tak zesnurowywa swe drobne oczki, jak gdyby mu spacerujący po nosie chrapaszcz skórę łapkami łechtął. Raz nawet przed oknem magazynu, w którym stała lalka woskowa, ubrana w nową suknię, szarpnął mnie za rękę:

— Patrz pan, co za wcięcie...

A westchnąwszy dodał:

— I ona by się zmieściła na świecie, gdyby była żywą.

Ale dlaczego p. Gdacki nie lubił rewolucji? Pytałem go o to kilkakrotnie, ile razy mi odniósł pożyczoną książkę w tym przedmiocie — odpowiadał zawsze:

— Nie lubię patrzeć, ani gdy barany same sobie łby rozbijają, ani gdy im rzeźnik w szlachtuzie je rozrębuje.

Pewnego wszakże dnia, zabawiwszy u mnie dłużej niż zwykle, otworzył swe serce głębiej.

— Jabym sarkofagi Grachów, Dantonów, Robespierrow, a nawet wszystkich wielkich wodzów i spiskowców stawiał na najwęższych i najbardziej uczęszczanych drogach, ażeby, każdy mijający się z drugim wóz szturgnął je swą osiá; jabym ich nazwiska kazał wyszywać na chustkach do nosa, jabym...

— Ależ, panie Leonie — zawołałem — zapominasz, że ci ludzie, chociaż nieraz zbroczeni niewinną krwią, stali się dobroczyncami ludzkości.

— Której? Tej, co po nich się narodziła. Daruj pan, ale nie pojmem nigdy, dlaczego pokolenia następne mają większe prawo do szczęścia od poprzednich. Niewątpliwie,

ci, którzy żyją po rewolucji francuskiej, korzystają z jej wpływu; ale co zyskali ci, którzy w niej padli ofiarą? Skąd obowiązek poświęcenia się? Historyozofia, której pan bronisz, jest logiką ludożerstwa: jedne generacje giną dlatego, ażeby drugie nakarmić.

— To nie powinnoś nakazana, ale naturalna konieczność rozwoju — wtrąciłem zdziwiony wybuchem p. Gdackiego, który, włożywszy ręce w kieszenie, zaczął chodzić po pokoju.

— Maraton, Choronea, Wiedeń, Jena, Waterloo — rzekł znowu podniesionym głosem — powtarzamy z podziwem, wienając genialnych wodzów, jak gdyby oni byli zbawicielami świata. Proszę pana to głupota patrzeć na wojny, jak na widowiska teatralne. Czem jest cały blask Napoleona wobec cierpień konającego na polu bitwy żołnierza, któremu wspomnienie osierociałej żony i dzieci serce rozdziera rozpacz! Zsumujmy wszystkie te boleści poległych i osieroconych, a zobaczymy, czy je zrównoważą korzyści, osiągnięte z wojny przez żywych. Nie bawmy wyobraźni powieściami o wielkich kampaniach, ale przewędrujmy sercem wszystkie smutki, stańmy na stanowisku nie wodza, lecz żołnierza. We mnie, panie, tygrys się targę, gdy słyszę głupie skargi: lichwiarz wyzyskuje, dwór wyzyskuje! Jabym od swiergojących na tę nutę giłow chciał się dowiedzieć, czy oni woleliby zapłacić 50% od pożyczki na chorobę dziecka, czy posłać to dziecko na pekeflejsz armatom, lub rzucić w wir spisku. Bodaj takich apostołów!...

Zaklął i umilkł. Tak byłem odurzony zapachem kompozytora napisów chińskich, że bardziej przypatrywałem się nagłej jego przemianie, niż analizowałem słowa. Po chwili dopiero rzekłem:

— Wywody pańskie są tak namiętne, że domyślałem się w nich pobudki osobistej.

— Zgadłeś pan — odpowiedział żywo — tak, i ja ugotowałem się w tym ukropie. Ojciec mój, drobny szlachcic podlaski, oddał mnie do szkoły powiatowej w Siedlceach. Gdy po ukończeniu czwartej klasy wrócił do domu na wakacje, oświadczył mi, że pójdę na kancelistę do magistratu. Prosiłem go, ażeby mi pozwolił kształcić się dalej. Przystał bez oporu. Jakoż zawiózł mnie do Warszawy, umieścił u woznego z Komisji Skarbu a przy odjeździe rzekł: masz opłacone życie za miesiąc, potem radz sobie sam. Ile najadłem się głodu, mniejsza, dość że gimnazjum skończyłem. Pewien kupiec, u którego lekcye dawałem, zgodził mnie na rok za guwenera do syna, którego wysłał do Wrocławia. Pojechałem i wstąpiłem do uniwersytetu. Pierwszy rok był zabezpieczony, potem nastąpiła bieda. Dowłokłem się jednak na kurs czwarty. Właśnie mieliśmy rozpocząć egzamina, gdy w uniwersytecie wybuchła straszna awantura. Jeden z profesorów — nawiasem mówiąc pies wściekły, którego skóry balbym się rozesać sobie przy łóżku, ażeby mnie nie ukąsiła — obraził naszego kolegę. Zerwała się burza. Postanowiono znieważać go publicznie. Gdym usłyszał ten wyrok, nogi się podemną zatrzęsły. Już, tonąc kilkakrotnie, dopływałem do brzegu, już widziałem się inżynierem górniczym w kopalniach szląskich, już miałem nadzieję podać rękę dwu braciom młodszym, a tu nagle tworzy się wir, który mnie pochłania. Chwytałem się ostatniego srodka. Na następnym zebraniu kolegów proponuję, żeby zamiast napaści, która może wywołać zgubne skutki, poprzestać na usunięciu się z uniwersytetu dopóty, dopóki nasz kolega nie otrzyma jakiejś wystarczającej satysfakcji. Zaledwie dokończyłem mych słów, gdy przyskakuje do mnie jeden ze studentów i woła: błazen jesteś, podły tchórz! „Szpieg“ — zawtórował chór. Skamieniałem. Gdyby mi wówczas

powiedziano, że dla zmycia tej zniewagi muszę do śmierci moknąć w oceanie, rzuciłbym się wien bez namysłu. Idę, idę! — krzyknąłem rozpaczliwie. Nazajutrz rano policya, uprzedzając wybuch, przyaresztowała nas i kazała natychmiast opuścić Wrocław. Gdym wyjechał z miasta, łzy zalały mi twarz. Co z sobą zrobić? Na wstąpienie do innego uniwersytetu nie miałem środków, do uzyskania posady brakło mi świadectwa, a męczęńska korona chleba nie obiecywała. Lecz gdy znowu zacząłem sobie wyrzucac uległość terroryzmowi kolegów, w uszach jak grom huczał mi krzyk: tchórz! szpieg! który trzął mną nielitościwie. Wolałem nędzę, niż to piekielne wycie. Trzeba było pogodzić się z losem. Ażeby nie umrzeć z głodu, zgodziłem się w jednej z kopalń szląskich za prostego robotnika. W kilka dni spotykałem na dziedzińcu tego samego kolegę, który mnie tak straszliwym zarzutem ugodził:

— Dobrześ zrobił, daj rękę. Trzeba walczyć, lecimy wszyscy z prądem, który ogarnął całą młodzież.

Wyznałem panu, że nie odznaczając się wielkiem rozwinięciem umysłowem, zapatrzywszy się w cel główny — uzyskanie dyplomu, nie rozumiałem dobrze owego „prądu“, o którym mi nieraz wspomiano. Co mnie tam obchodzi wasz „prąd“, mówiłem sobie, abym tylko skończył uniwersytet. Tymczasem, mimo wiedzy i woli stałem się ofiarą „prądu“. Nie będę panu opowiadał dalszej mojej biedy, dość, że po latach dwudziestu niedoszły inżynier zarabiam na życie rysowaniem dziwolągów, które mają być pismem chińskim na paczkach herbaty.

Roześmiał się, ale nie tak, jak wobec kobiety. Żęby ścisnął, kąty ust rozsunał, a brwi tak mu na nos zbiegły, jak gdyby się od czoła oderwały.

— Pojmuję — rzekłem — krzywdę pańską, ale wasza opanocza przyczyniła się...

— A niech dyabli wezmą — krzyknął — wszystko dobre, do czego ona się przyczyniła! Dlaczego inni mają ze mnie korzystać, a ja sam z siebie nie! Nie chcę. Niech każdy robi rewolucję na własny rachunek!

— Albo pan z cudzych rewolucyj nie korzystasz?

Parsknął śmiechem.

— Ani jedna chwila z całych dziejów cywilizacji nie jest potrzebna do ozdabiania kopert herbacianych.

— Wątpię.

Umilkł widocznie rozdrażniony. Przeszedłszy kilkakrotnie pokój, podał mi rękę na pożegnanie.

— Nie śpiesz się pan.

— Muszę dziś jeszcze skorzystać z dawnych rewolucyj — odparł ironicznie — i napisać kilka tekstów chińskich, bo kupiec zamówił.

Wyszedł.

Długo rozmyślałem nad tym biedakiem i pomimo wszystko przyznać muszę, że i on także miał swoją rację — taką samą, jak mrówka zgnieciona stopą przechodnia.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Uspokojenie astronoma. — Pojmowanie szersze i głębsze. — Tradycya i hrosze. — Szynkowanie pod pseudonymem. — Znachorka. — Szkołki rolnicze. — Ostrożnie. — Kielczanie. — Zakłete skarby.

„Spójrzę w lecące po niebie łabędzie
I tam polecę, gdzie one polecą.“

a uczynię tak, aby uniknąć zabojezych ciosów, wymierzonych przeciwko mnie przez pewnego astronoma z Lublina. Szła-

chetny gwiazdoznawca pragnie „skierować lunetę pana Bohusza na dodatnie strony resursy obywatelskiej i dowieść, że p. B. obwiniał ją o koteryjność — niesłusznie.“ Łaskawy astronomie, uprzejmie proszę, abys, zapatrzyony w moją „lunetę“, nie wpadał do jamy, którą sam nie wiem, po co wykopałeś. Jeżeli bowiem zarzuty, jakimi uraczono wasz przybytek uciech „wypłynęły z mętnego źródła osobistych niechęci“ — to zjawisko takie samo w sobie jest już wykwittem *koteryjności*, która — patrząc na rzecz przez pryzmat zaściankowych zawiści i sympatyjek — nie widzi prawdy i szkodzi ogólnej sprawie. Nie obawiaj się jednak: akt oskarżenia resursy podpisały aż dwa powszechnie u was znane i — o ile wiem — szanowane nazwiska; inaczej Europa nie byłaby się nigdy dowiedziała o... nowym gatunku perfum. Jeżeli nie mówiłem nic o stronach dodatnich waszego klubu, to dla tej prostej racji, dla jakiej nie unoszę się np. nad szewcem za to, że robi buty, lub nad siodlarzem, który sporządza munsztuki. Że każdy medal ma dwie strony — wiem o tem.

Złudzenia o braku kastowości u nas zastawmy lepiej dla redaktora *Słowa* — gdyż około nowego roku przeszły one na jego wyłączną własność. Co do mnie, to nie tylko wierzę w nasze dzielenie się na kółka i koleczka, ale i nienawidzę tego procesu serdecznie. Nienawidzę go nawet wtedy, gdy jest przykryty płaszczem patryotyzmu i kiedy wypływa z „szerszego i głębszego rozumienia ogólnego dobra.“ Wiem np. że przestawszy się dzielić i waśnić, nie będziemy mieli zaszczytu ozdabiania pism humorystycznych zagranicę; co gorsza — nie doczekamy tryumfu miłujących nas kulturträgerów, a jednak pomimo to nie mogę się pogodzić z myślą, że Towarzystwo Kredytowe — „szerzej i głębiej pojmujące potrzeby kraju“ — oświadczyło się na niekorzyść małej własności. „Stowarzyszeni“ obawiają się *szachownicy* i zupełnej zagłady lasów. Co do pierwszej — to najlepszym naszego ku niej wstrętu dowodem jest owa skwapliwość, z jaką zawieramy ugody serwitutowe, co zaś do wycinania lasów, to kiedy niemiec, kupiwszy od „większej własności“ kilka włók boru, niszczy bez litości nasze stare, piękne dęby i sosny, „co to pamiętają itd.“ — to wtedy jeszcze nie tyle nas serce boli: trudno — mówimy sobie — człowiek obcy potrzeb kraju nie rozumie... ale gdyby tak nasze Wojtki i Maćki zaczęły robić to samo — to, przynajmniej państwo, widok taki zanadto byłby bolesnym.

Jest jeszcze jedna kłótkę, na którą „większa własność“ zamknęła przed „drobną“ podwoje Tow. Kred. Chodzi tu o *pielegnowanie* naszych tradycyj narodowych, któreby łatwo mogły zaginać w rękach drobnych posiadaczy ziemskich. Obawę taką najgoręcej podobno podtrzymywali na obradach *cudzoziemcy*, którzy stanowią tylko 11 $\frac{1}{2}$ % stowarzyszonych... Ja sam myślałem dawniej, że tylko *dwór* a nie *chata* może stać u nas na straży „spuścizny.“ Tak o fałszywości tego poglądu, jakoteż o konieczności „pielegnowania“ przekonał mnie dopiero teraz p. Jaroszyński w *Koresp. Płockim*.

W wigilię bożego narodzenia — powiada on — chłopcy więcej przychodzą tutaj (na Podlasiu) do dworu z *konikiem*, albo z *kozą*, z którymi też wyprawiają różne hece, dostając za to od pana *hrosze*. Te *hrosze* trzeba im dawać koniecznie, gdyż bardzo je lubią — zwłaszcza srebrne... Inaczej i *taka nawet tradycya* byłaby zaginęła. *Jakto?* nawet taka? nawet *konik* i *koza*? A to dawajcież im panowie jak najwięcej hroszy, ratujcie kraj od niechybnej zagłady! Jakże musimy być wdzięczni *panom* za owe lekcye „pielegnowania.“ Teraz, gdybyśmy spytali jednego z maluczkich, co to jest *tradycya*, odpowiedziałby nam bez namysłu: „jest to *konik*, którego do-

siadamy, ilekroć chodzi o *hrosze*—zwłaszcza srebrne; czasem też bywa ona *kozą* albo *krową*—rozumie się doją. Tak jest: tradycja nasza jest konikiem; ale „stowarzyszeni,“ którzy „głębiej i szerzej dobro ojczyzny pojmują,“ którzy przez cały rok jeżdżą... a raczej stoją „na straży konika“—nie zasklepili się w ciasnym kole *srebrnych hroszy*, lecz zatrzymali dla siebie... listy zastawne.

Najgorliwszymi jednak obrońcami swoich tradycji są u nas żydzi-karczmarze na wsi. Bohatersko potrafili oni odparować ciosy, którymi nowa ustawa zagroziła ich najdroższym spuściznom i teraz, przy pomocy „nieuczciwych katolików“ szynkują sobie „pod pseudonymem.“ Zgadzą się z *Gazetą Lubelską*, że biedny nasz kmiotek, nie znajdując w karczmie ani herbaty, ani piwa, musi pić to, co mu podadzą, to jest obrzydliwą gorzałkę; zdaje mi się jednak, że krzywienie się i spluwanie kmiotków przy tej operacji pochodzi więcej z „lubości,“ niż z obrzydzenia. Zdaje mi się jeszcze, że ani *Gaz.*, *Lubelska.* ani *Echo Łomżyńskie* nie wywrze wielkiego wpływu na Berków i Moszków i że cała ta sprawa rozbija się ciągle o jakieś *hrosze*, które od Berków wpływają do jakiejś kieszeni.

A jednak mamy wśród nas i takie zacne kieszenie, które się przed owym, wódką cuchnącym groszem zamykają... W parafii puchaczewskiej, którą proboszcz miejscowy—na udęczenie arendarzy—cywilizuje, zamknięto już aż trzy karczmy... Działalność gospody ludowej i sklepu spożywczego rozwija się tam w całej pełni, wykazując niedyskretnie, jak się naprawdę uwolnić można od „pijawek“ i na jakie te rzeczy powinien byłby zwrócić swoją uwagę: „kościół—matka nasza.“

Drugą plagą, na którą się uskarżają pisma prowincjonalne, są *cyganie*, okradający wieśniaków bez litości. Dotychczas gaziarska kuracja tych naszych niemoocy społecznych skutkowała tyle, ile *zamawianie* pewnej znachorki z okolic Lublina, która wypęda choroby: „puchowem pióreckiem, mąkowym ziołkiem, boską mocą, najświętszej panny dopomocą, aniołami bożymi i wszyckimi świętymi“ z głównym wszakże uwzględnieniem św. Franciszka. Co prawda, to ten ostatni święty za takie jego szczególne odznaczenie mogłyby się nam przesyłużyć jakas „dopomocą,“ ale cóż, znachorka oprócz *zamawiania*, jeszcze smaruje zwykle swoich pacjentów — a my już albo nie mamy czem *smarować*, albo nie chcemy.

Szkoda! Godziłoby się pamiętać o projekcie byłych wychowawców nieboszczyka Jastrzębowskiego, którzy pragną założyć w kraju kilka szkół rolniczych ludowych. Możeby się z tych nici projektów udało utkać choć jaką taką derkę dla naszego rolnictwa, tem bardziej, że ministerium ogłosiło niedawno ustawę, dozwalającą zakładania takich szkółek gminom i osobom prywatnym.

Projekty wchodzą u nas czasem w wykonanie dość prędko, dowodem świeżo przez ziemian nadwieprzańskich założona czytelnia składkowa nowych książek. Liczy ona już 50 członków, z których każdy opłaca 2 rs. składki miesięcznej. Suma roczna wyniesie 1200 rs. Jeżeli czytelnicy pomną wszystkie wydawane u nas modlitewniki, to obawiam się, że w kasie ich z roku na rok pozostanie dość znaczny remanent...

Jeszcze jednym, równie pięknym przykładem samopomocy i zwalczania „sytuacji wyjątkowej,“ darzą nas mieszkańcy Kielc, którzy „peryodycznie zbierać się mają na narady, aby swoje interesa wspólnie przedyskutowywać i odpowiednio projekty władzy przedstawiać.“ Pierwsza taka narada pod przewodnictwem miejscowego gubernatora odbyła się już przed kilkoma dniami. Postarajmy się przekonać,

że nie zawsze więcej *chcemy* zrobić, niż *możemy*.

Na zakończenie pozwolę sobie zwrócić się do wszystkich duchów opiekuńczych, które mój kalejdoskop zasilają pięknymi obrazkami. Geniusze moi, jeżeli z hieroglifów, którymi się podznaczenie na wszystkich korespondencyach, nie zdołam wyczytać nazwiska, to obrazki wasze na zawsze pozostaną dla „perspektywy“ skarbem zaklętym. Obietnica ta moja, jak nadzieja, stosuje się szczególnie do jakiegoś ptaszka z gubernii kieleckiej, który nie chciał wypiewać tajemnicy pewnej reursy. Otóż, miły ptaszku, ja sam po wasze skarby jechać nie mogę, tem bardziej, że u was na głównych drogach systematycznie rabują spokojnych pasażerów; teraz więc tylko od siebie powiedz waszemu prezesowi, że kiedy nie lubi przedstawiać tancerzy biednym panienkom, to może woli, abym ja jego samego przedstawił czytelnikom *Prawdy*.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 25 stycznia.

Pobył „czerwonego księcia“ w więzieniu, kłopot rządu francuskiego, co z nim począć, świeżo wykryty spisek legitymistów, który, wedle programu, miał się zakończyć zbrojnym powstaniem przeciwko Rzeczypospolitej, zabiegi orleanistów — oto wątek, z którego snują się wiadomości polityczne ostatnich dni. Nie brak wprawdzie głosów utrzymujących, że areztowanie księcia było krokiem fałszywym i że ono więcej, niż osławiona proklamacya, dopomogło do odzyskania stronnictwa bonapartystycznego i idei napoleońskich. Inni znów są zdania, że Rzeczpospolita wcale nie jest zagrożona i że długo jeszcze żaden bonapartysta, ani legitymista na tronie Francji nie zasiądzie, już dla tego, że ani w jednym ani w drugim obozie niema człowieka, któryby zdołał ująć w swe ręce ster nawy państwowej. Cokolwiek bądź, wszystkie owe zaburzenia i intrzygi, które obecnie zakłócają spokój wewnętrzny Francji, są najlepszym dowodem, jakie znaczenie dla istnienia jej i ustroju miał Gambetta. Dopóki on żył, wszyscy bez wyjątku pretendenci zachowywali się spokojnie — a dopiero po zgonie jego hurmem rzucili się do działania, uznając tem samem, że on był jedynym mężem, pod którego wodzą Francja mogłaby skutecznie stawiać czoło monarchicznemu ich zachciankom. W związku z tem zdaje się pozostawać przyjazd do Paryża eks-cesarzowej Eugenii, która zelektryzowana manifestem Plon-Plona, zapomniała o piętnastoletniej blisko niedoli, porzuciła ustronie i niby za pięknych dni młodości i cesarstwa stanęła wśród paryżan. Po co? Żeby — jak mówią ostatnie depeze — wyrazić swoje uznanie księciu Napoleonowi. Biedaczka, widocznie zapomniała, iż w kraju, w którym kiedyś rządziła, nikt dziś o uznanie jej nie pyta i praw jej nie słucha.

Z innych wypadków zasługuje na uwagę zatrzymanie się w Wiedniu ministra Giersa, wracającego z podróży swej do Petersburga, oraz świetne przyjęcie, jakiego dygnitarz ten doznaje w kołach dyplomatycznych austriackich.

Dzienniki słusznie zaznaczają ton spokojny, jaki wobec przyjęcia tego zachowuje prasa berlińska.

Stosunki Watykanu z Prusami znów są naprężone z powodu, że papież odmówił komunikowania rządowi pruskiemu wiadomości o nominacjach duchownych i wydalenia ze stolicy swej kardynała Ledóchowskiego. We Włoszech nie przestają

się powtarzać manifestacye przeciwko Austrii.

Ze Wschodu żadnych niema wiadomości. Proces anarchistów w Lyonie skończony skazaniem Krapotkina i jego towarzyszy, a jakby w odpowiedzi na ten wyrok Ludwika Michael zwołała meeteng, którego prezesem honorowym obrany pierwszy z podsądnych.

Cn.

CUDZE GŁOSY.

Polityka Kalnoky'ego, niczem zresztą, jeszcze dotychczas nieudowodniona, budzić zaczyna obawy także i w kołach wiedeńskich. *Blatly* tamtejsze jęły się obliczania, ilu jest słowian w generalicyi armii austriackiej, której zesławianiszczenia srode się obawiają. W trwodze tej jest prawdopodobnie więcej udania, niż prawdy. Bicie na gwałt w dzwony przed rzekomym najazdem słowian jest znaną i zbyt często powtarzaną sztuczka Niemców austriackich, ile razy monarchia rakuska śmielej chce uchwycić się polityki słowiańskiej i odbiedz od przymierza z Niemcami. Prasie wiedeńskiej przyszedł w pomoc jeszcze i londyński *Standard*, który twierdzi, że „hr. Kalnoky wraz z generałami, którzy w większej części należą do słowian, skłania się ku Rosji.“ Insynuacyom tym przeczy atoli najdowodniej, bo cyframi, *Schlesische Zeitung*. Wykazuje ona, że na 239 głów austriackiej generalicyi jest tylko 26 słowian. Między tymi ostatnimi znajdują się nadto również i tacy, którzy tylko z nazwiska są słowianami. Znaną jest także rzeczą, że austriaccy generałowie słowiańskiego pochodzenia nie posiadają ani odrobiny słowiańskiej stronnicości, ale uważają się przedewszystkiem za austriaków, jak np. dobry zresztą słowianin, gen. Jovanović.

Wniosek polski. Deputowani polscy na sejm pruski postawili 17 b. m. w Izbie deputowanych następujący wniosek:

Izba zechce w osobnej uchwale zaważać królewski rząd, iżby przedsięwziął odpowiednie środki w tym celu, aby:

1) w wyższych zakładach naukowych, seminaryach nauczycielskich i szkołach średnich

a) zaprowadzono dla uczniów narodowości polskiej język ojczysty, jako wykładowy w duchu instrukcyi ministerjalnej, wydanej na podstawie rozkazu gabinetowego z 20 maja 1842 r.

b) nauki zaś religii kat. znowu udzielać począto i aby ją wykładano w ojczyjstym języku uczniów;

2) aby w szkołach elementarnych

a) zniesiono rozporządzenie z 20 września 1872 z d. 29 lipca i 27 października 1873, oraz na nich oparte uchwały, którymi język ojczysty, jako wykładowy we wszystkich przedmiotach naukowych, albo zniesiony albo ograniczony został;

b) aby nakazano bezzwłocznie naukę religii w szkołach elementarnych wykładać w języku ojczystym.

Wniosek powyższy postawiony został przed samem odroczeniem sejmu na czas nieograniczony, ponieważ jednak, jak się dowiaduje *Kur. Poznański*, sejm zwołany zostanie ponownie w miesiącu lutym, więc sprawa wejdzie pod obrady Izby *in pleno* w drugiej połowie przyszłego miesiąca.

Żądania objęte wnioskiem, nie zawierają nic nowego i niejednokrotnie stawiane już były i dzielnie bronione w pruskim parlamencie, zuaczoną większością głosów odrzucano je wszakże za każdym razem, do czego dołączano zawsze sporą wiązaną sztyderstw dla naszej narodowości.

„Czy i dzisiaj — pyta Kuryer — znajdują się jeszcze wśród sejmowej reprezentacyi „mamelucy“ tego rodzaju? Wątpimy — a nawet mamy nadzieję, że dzisiaj rząd ze swym systemem pozostanie sam, tak jak sam pozostał p. minister Gossler z projektowanym a przeciw polakom wymierzonym §. 5 ustawy o władzy dyskrecyonalnej.“

Wniosek polaków będzie prawdziwym probierzem obecnego składu Izby pruskiej. Nadziei *Kuryera* nie podzielamy przecież, wątpiąc zupełnie o liberalizmie prusaków.

Staro- a młodoczesi. Prezes klubu czeskiego złożył zapewnienie, że „czesi nie są przeciwnikami przymierza monarchii austriacko-węgier z Niemcami.“ Przeciwno słowem tym zaprotestował jeden z przywódców partii młodoczeskiej, dr. Trojan, wiceprezes klubu prawnopństwowego i członek komitetu wykonawczego prawicy w Radzie państwa, oświadczając (dosłownie):

„Czeski klub życzy sobie również gorącej przyjaźni z Rosją, która się względem Austrii okazywała zawsze, a zwłaszcza w chwilach krytycznych, jako przyjaciółka pewna i z którą nie przegrała ona (Austria) dotychczas żadnej bitwy i żadnej nie straciła dla niej prowincyi.“

Z Czerwonej Rusi. Z gimnazjum w Sankoku wydalonym został uczeń pochodzenia ruskiego za agitację polityczną. Fakt ten wywarł nader przykre we wszystkich kołach wrażenie. O ileż zawinił uczeń i o ile właściwie postąpiła sobie władza szkolna, nie rozstrzygamy; fakt to zresztą zbyt oderwany, aby mógł zajmować szerszy ogół. Nastęrcza on jedynie powód do rozmyślań o nieszczęsnych stosunkach narodowościowych w Galicyi i sporach, weiskających się także i między młodzieżą szkolną. Gdzie leży źródło złego i jakiego użyć należy balsamu na zagojenie ran, jątrzących schorowane ciało galicyjskiego społeczeństwa—*Prawda* wskazała już nieraz. Inni podsuwają półśrodki, zanotujemy je jednak.

„Przyczyną tych złowrogich stosunków—pisze *Gaz. Krakowska*—są niestety przepisy szkolne. Obecnie bowiem dzieli się młodzież na obozy nieprzyjacielskie a mianowicie z powodu dowolności uczenia się języka ruskiego w szkołach średnich. Jedno z dwojga—powiada ona dalej—albo ruski język potrzebny, albo nie; albo więc ma być obowiązkiem dla wszystkich uczniów bez wyjątku, albo wykluczonym z przedmiotów nauki zupełnie. Taka, jak teraz istnieje dowolność demoralizuje zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Nauczyciele ubiegają się o udzielanie tej nauki, bo godzina z 5—10 uczniami na igraszce (?) spędzona liczy się tak samo, jak inna, więcej mozolna, uczniowie znów uczęszczają na język ruski dla miłej zgody z katechami ruskimi, zazwyczaj świętującami, aby otrzymać dobrą notę z religii. Otóż sprawiedliwość wymaga, aby wszyscy uczniowie bez wyjątku uczyli się po rusku, tem więcej, że znajomość tego języka jest dla nas bezwarunkowo zarówno koniecznością polityczną, jak i potrzebą naturalną.“

W sprawie teatru poznańskiego otrzymała *Nowa Reforma* obszerny list z Poznaniu, którego autor dosyć wyczerpująco nakreśliwszy dzieje tamtejszej sceny polskiej, zapytuje w końcu, czy istnienie jej rzeczywiście jest tak ważnem, iż społeczeństwo polskie tyle dla niej podejmuje zabiegów i tak znaczny zbiera na podtrzymanie jej kapitał. Podawszy niedawno trzy zgodne ze sobą głosy opinii poznańskiej, sprzeciwiające się dalszemu zbieraniu składek na teatr, uważamy za obowiązek przytoczyć tutaj także zdanie odmienne, tem więcej, że rozumowanie korespondenta *Reformy*, chociaż wcale nie zbija doniosłego zarzutu *jednostronności* celu składek, lecz stara się o wykazanie wielkiego znaczenia sceny narodowej w Poznaniu, oparte jest na argumentach, których wartość uznać muszą i przeciwnicy. Żałujemy, że z wypowiedzianych przez korespondenta poglądów zaledwie niektóre będziemy tu mogli przytoczyć.

„Przypomnijmy sobie tylko—powiada on—nazwiska Bogusławskich, Kamińskich... Dzięki teatrowi spoglądaliśmy na naszych, zalewem germanizmu zagrożonych kresach na obrazy życia braci naszych litewskich i ruskich. Niepoślednia część zasługi utrzymania poczucia narodowego i pobudzania do czujno-

ści około jego zachowania należy się niewątpliwie Bogusławskiemu. Toż samo znaczenie ma dla nas teatr i dzisiaj. Jeżeli bowiem jest on potrzebą moralną w Warszawie, Lwowie i Krakowie, gdzie żywił polski, pominiawszy różnicę sytuacji politycznej, jest czystym, niezmiśnianym i niezagrożonym przynajmniej w swem pleniennym istnieniu, o ileż natężysz, o ileż bardziej nagłą potrzebą jest tutaj właśnie dla wszystkich dbałych o przechowanie i ocalenie naszej narodowości!

Teatr gromadzi tu wiele żywiołów, które bez niego rozpierzechnęłyby się po towarzystwach obcych, ginąc i obumierając bezpowrotnie dla polaków, spełnia u nas poniekąd zadanie, które w społeczeństwach, rozwijających się normalnie, należy do szkoły: uczy, choć dorywezo, historii i uszlachetnia coraz mniej poprawny u nas język ojczysty. Cała średnia inteligencja, owa wielka masa żywiołu miejskiego, skazana bez teatru na powolne, ale pewne wynarodowienie, odżywa dzisiaj i odżyje w całej właściwości narodowej pod dobroczynnem, ciepłem technieniem sceny narodowej. Zapoznawać tę prawdę może tylko zaślepienie lub niechęć.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoła handlowa warszawska nadesłała nam sprawozdanie ze swej działalności za ubiegły rok szkolny 1881/2. W roku tym uczęszczało do szkoły uczniów 175, czyli mniej więcej tylu, co i lat poprzednich.

W rozkładzie lekcyj, wogóle bardzo umiejętnie i praktycznie skreślonym, uderza nas zbyteczne upośledzenie języka francuskiego, który w klasach specjalnych wykłada się tylko po godzinie tygodniowo! Jakkolwiek wiadania niemieczyna bezwątpienia większą przedstawia wagę dla kupców i przemysłowców naszych, to jednakże znajomość francuszczyzny nie jest dla nich bez znaczenia. Czyby więc nie korzystniej było dla wychowauców szkoły zmniejszyć liczbę godzin wykładu języka niemieckiego w klasach specjalnych z 6 na 5, a natomiast dać francuskiego zamiast 1 godziny — dwie przynajmniej?

Dalej zwraca uwagę naszą brak w planie nauk „Encyklopedyi handlu“, wykładanej we wszystkich szkołach handlowych zagranicą. Natomiast zbytecznem zupełnie wydaje nam się wykład t. zw. *Towaroznawstwa*, który (jak to wszystkim znającym rzecz wiadomo) żadnego pożytku uczniom nie przynosi. Świadoma tej prawdy Szkoła Handlowa w Lipsku oddawna wykład tego przedmiotu *de facto* zniósła, jakkolwiek figuruje on jeszcze *de nomine* na patentach. Ośmieleni tym faktem, proponowalibyśmy zwłaczności naszej szkoły, żeby wykład towaroznawstwa usunęła, a z pozyskanych stąd dwu godzin tygodniowo poświęciła jedną na wykład encyklopedyi handlu, drugą — korespondencyl francuskiej.

Z wydrukowanego w sprawozdaniu wykazu kosztów utrzymania szkoły za czas od 1875/6 do 1881/2 roku szkolnego dowiadujemy się, że łożący na utrzymanie jej sukcesorowie zmarłego Leopolda Kronenberga dopłacili do wpływów z opłat szkolnych od uczniów:

w r. 1875/6	Rs. 8,864.75
„ 1876/7	„ 7,117.45
„ 1877/8	„ 9,182.54½
„ 1878/9	„ 10,641.33
„ 1879/80	„ 9,033.67
„ 1880/1	„ 7,758.31
„ 1781/2	„ 8,012.50

Sumy pokaźne! Należy się za to hojnym ofiarodawcom od ogółu uznanie.

Szkoły. Pod rozpoznanie Rady państwa świeżo wniesiony został projekt reformy dotychczasowego wykładu języków nowożytnych w średnich zakładach naukowych. Ze względu mianowicie na małe postępy, jakie w tych przedmiotach czyni obecnie młodzież gimnazjalna, co w znacznej części jest następstwem niezajomości języka wykładanego ze strony nauczycieli, przeważnie cudzoziemców, posady języków nowożytnych mają na przyszłość być powierzane wyłącznie rosyjanom.

Sądy. Ministerjum sprawiedliwości wyasygnowało rs. 82,450 na powiększenie liczby etatów w sądach okręgu warszawskiego. Niezależnie od sumy tej ma

być przeznaczonem rs. 27,000 na pomnożenie składu osoblistego zjazdu sędziów pokoju tak w m. Warszawie jak i w innych guberniach Królestwa.

Napad. Na pierwszorzędnej szosie pomiędzy Jędrzejowem a Kielcami w d. 17 b. m. ograbiono pocztę pleńską idącą do Warszawy. Napastnicy, zabrawszy przeszło 30,000 rs., zniknęli bez śladu, a pocztylion, urzędnik konwojujący pocztę i jakiś zablakany pasażer na odgłos strzałów ratowali się ucieczką.

Kary prasowe. *Strana* petersburska została zawieszona na 4 miesiące, a *Moskowskij Telegram* otrzyma drugie ostrzeżenie.

Zmarli. Gustaw Doré, znakomity ilustrator, w Paryżu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. B. W. Żaden lekarz z biorących udział w sekcji, oznaczenia ciężaru mózgu Gambetty nie ogłosił, wszelkie więc zdziwienia nad małą jego wagą (1000 gram) są po prostu bajaniem nad reporterską, przez niektóre dzienniki francuskie zaprzeczoną plotką. Jeśli więc Pana ta kwestya zajmuje, poczekać należy na sprawozdanie urzędowe.

Stowianinowi. Utwór Pański odesłany na pocztę.

T. B. Żadne zwłaszcza tygodniowe pismo, krórego znaczną część prenumerują księgarnie, geografii swych abonentów nie posiada i ułożyć jej nie może.

P. Edmundowi K. w Krakowie. Adres Jeża: Z. Miłkowski, Genève, Chemin-Sautter, 19.

P. Leonowi E. Kto chce posłać swą fotografię Jeżowi, może to uczynić bez pobudki i pośrednictwa z naszej strony: jego zaś fotografii dostać można w Warszawie.

Agami. Nie dla nas.

Tonda Sfinks. Nie.

P. H. Wer. w Częstochowie. Nasz referent działu nauk przyrodniczych odpowiedział Panu listownie.

P. H. E. Synonimami polskimi zajmował się Brodziński i znaczny ich zbiór znajduje się w VII tomie jego dzieł (wydanie Kraszewskiego). Wywody etymologiczne — według Kryńskiego — mało warte.

Ogłoszenia.

Biblioteka matematyczno-fizyczna, wydawana przez M. A. Baranieckiego z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego. Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki, S. Kramsztyka.

Kartonowane. 103 drzeworyty. Cena 30 kop. i 45 kop. 2—8

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie w roku następnym 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającami.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie Rs. 12.

Półrocznie „ 6.

Prenumeratory z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

WŁODZIERSKA Nr. 14

inaczej bowiem za akuratność ekspedycyi redakcyi odpowiadać nie może. 5—5

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.